ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 297.

Nr. 15. | Warszawa, d. 1 sierpnia 1911 r. | Rok XIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

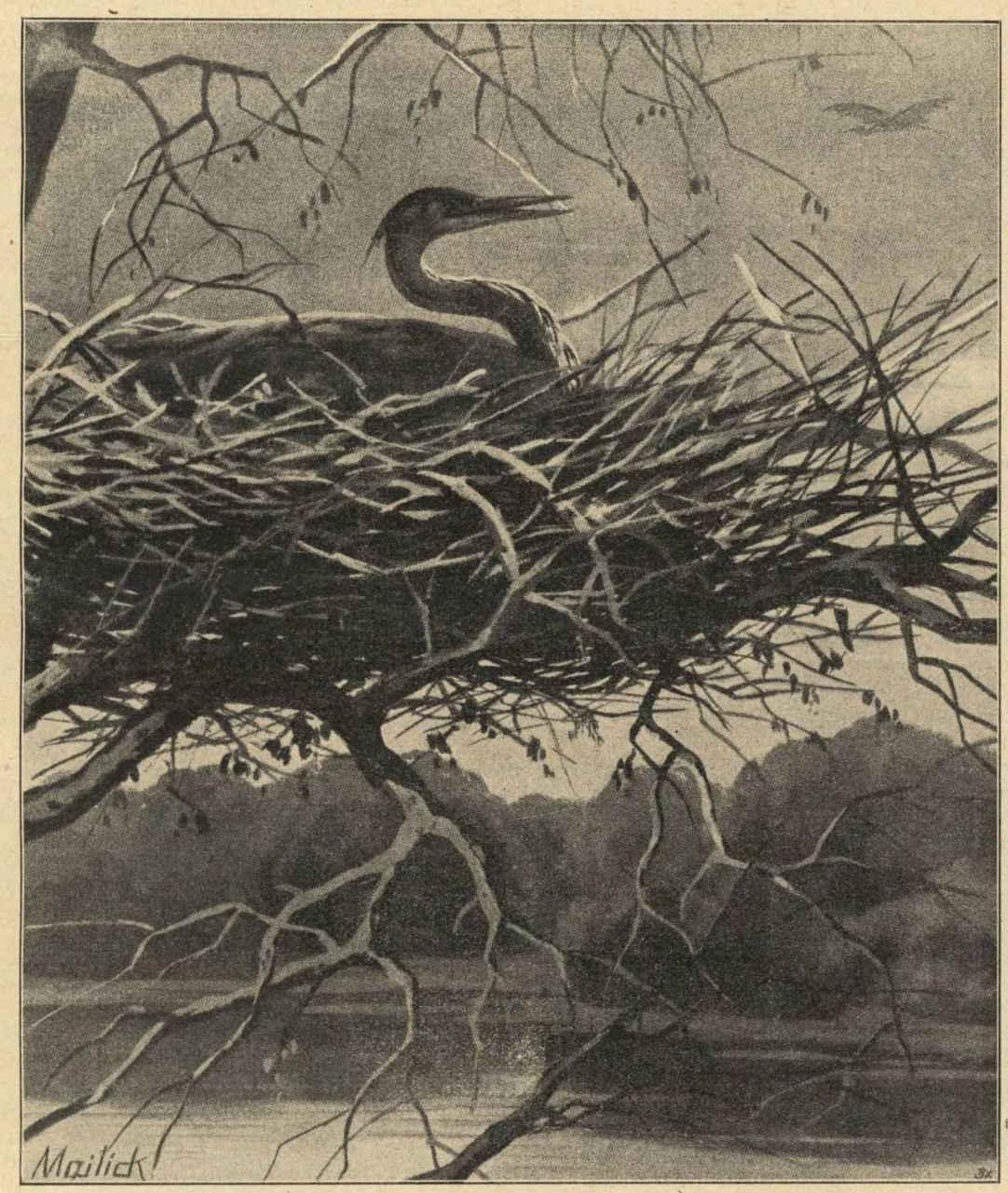

CZAPLE GNIAZDO.

Drzewa i krzewy w remizach.

Na zapytanie: jakie drzewa i krzewy są najodpowiedniejsze w remizach, zagraniczne pisma myśliwskie dają następującą odpowiedź:

Przy zakładaniu remiz dla zwierzyny wybitną rolę gra wybór drzew odpowiednich; należy przytem bowiem uwzględnić każdy rodzaj zwierzyny. Gęsto rozrastające się rośliny z mocnymi pniami, odpowiadają najbardziej celowi, gdyż tylko takie zapewniają zwierzynie osłonę konieczną. Ale zwierzynie w remizie potrzebna jest nietylko osłona, lecz także ochrona, wskutek czego przedewszystkiem być tam powinny kolce. Jaknajbardziej gęsty krzew tarni (tarniówki), głogu białego, zajęczego (berek), lub szkockiej róży płotowej *(Rosa rubiginosa)*, jest w tym celu bardzo odpowiedni. Szczególnie jednak podkreślić należy wartość szkockiej róży parkanowej dla remiz, ponieważ rozrasta się ona bardzo szybko i rozmnaża olbrzymio. Jej bardzo ostre kolce, których drapieżniki pierzaste i sierciowe unikają, jak ognia, nadają jej właśnie szczególną wartość, jako roślinie remizowej. Niema prawie ani jednej rośliny kolczastej, któraby dorównywała szkockiej róży parkanowej pod względem rozrostu, i któraby wskutek tego po upływie paru lat już zapewniła całkowitą ochronę w remizie. Roślina ta nie ma także wielkich wymagań co do gleby i klimatu. W każdym razie udaje się ona lepiej na dobrze nawożonym i uprawnym gruncie, niż na marnym i zaniedbanym. W celu obsadzenia miedz polnych, stromych stoków i wygonów, szkocka róża parkanowa jest również pożyteczna w rewirach do polowań na drobną zwierzynę, dając przytem bardzo ładny krajobraz. Na wiosnę i latem rośliny te wskutek wspaniałej ozdoby kwiecia białoróżowego przedstawiają się bardzo pięknie. Szczególnie zaś owoce tej rośliny nadają jej wybitną wartość w remizie dla zwierzyny, gdyż ta w zimie bardzo ją chętnie żeruje. Różę parkanową sadzimy w tym celu na pasie 25 cm., a w początkach w razie suszy podlewamy. Gdy tylko zacznie strzelać w górę, podlewanie jest już zbyteczne. Pod względem plonu jest to bardzo wdzięczna roślina.

Na uwagę zasługuje także *sosna krzewowa*, zwana również *sosną-krzywulcową*, czyli wrąg *(Pinus Pumilio)*, gdyż ta stanowi potężną ochronę dla zwierzyny w zimie. Szczególnie podczas wysokiego śniegu zwierzyna znajduje pod sosną krzewową zawsze także wolne miejsce, co szczególnie jest pożądane dla zwierzyny pierzastej. Roślina ta również udaje się na każdym gruncie i w każdym klimacie. Niema prawie drugiej rośliny takiej, któraby miała tak małe wymagania pod względem gleby i klimatu, jak właśnie sosna krzywulcowa. Przez rok cały zwierzyna pierzasta znajduje pod nią wyborne schronisko.

Świerków również braknąć nie powinno w remizie, gdyż one dostarczają bażantom szczególnie dobre miejsce na nocleg. Nie należy jednak świerków sadzić zbyt blisko siebie, gdyż przez to gałęzie dolne za prędko odumierają, a przeto nie osiągają celu głównego, jakim jest zapewnienie drzewa noclegowego, dającego dobrą osłonę. Najlepiej jest rozrzucać świerki pojedyńcze śród drzew liściastych. Świerki są także najlepsze w celu ogrodzenia. Szeroki żywopłot ze świerków o licznych gałęziach, staje się bardzo gęstą granicą, zasłaniając widok przed ciekawymi. Śnieżyce surowe i zimne wiatry spotykają bardzo silny opór, w gęstym płocie świerkowym.

Jak już wyżej wspomniano, należy uwzględnić szczególnie drzewa, które posiadają wybitną własność rozrastania się obfitego. Przedewszystkiem zważać trzeba na to, żeby drzewa dostarczały zwierzynie także żerowania.

Pod tym względem odpowiada bardzo dobrze celowi *rap*, czyli *osika*. Pożytek daje także *topola*. Można, też w zimie spuszczać drzewa prędko odrastające, których kora służy jako żerowisko dla zwierzyny. Gdy nawet w remizie odbywa się karmienie zimową porą, to trzeba się także starać o urozmaicenie żeru, do czego szczególnie służyć może osika. Zimową porą co pewien czas wyrębuje się kilka krzewów tej rośliny. Po upływie kilku tygodni zwierzyna ogryza te konary do białości. Korzenie tej rośliny są również bardzo pożądane przez zwierzynę.

Dalej można sadzić dziko naprzemian następujące rośliny: *bez*, który prędko się rozrasta, olszynkę, brzezinę i różne drzewa liściaste.

Ostrokrzew pospolity jest bardzo dobry i ładny w remizie, ma jednak wadę, że się niełatwo przyjmuje. Za to wszakże rośnie tem prędzej i gęściej, gdy dobrze przetrzyma pierwsze lata.

Gęsta, latem i zimą zarówno zielona osłona liściasta tego krzewu nie dopuszcza śniegu do ziemi, co, jak to już wspomniano przy sośnie krzywulcowej, posiada nieocenioną wartość w remizie.

Gdy wszelkie drzewa i krzewy powyższe znajdą się w remizie, to podniosą jej wartość znakomicie, o ile przestrzegane będą różne inne warunki konieczne, jak zasianie dobrej trawy, ustawianie żelaz na drapieżniki i t. p.

J-y.

Z polowań Roosevelta.

Nandi — brzmi jeden z opisów Roosevelta — to wojowniczy naród pastuszy, krwią i mową, uzbrojeniem i sposobem życia bardzo zbliżony do Masajów, od wieków nawykły do tępienia lwów, czyniących srogie nieraz, czy to wśród nich samych, czy wśród ich stad spustoszenia, oszczepem, stanowiącym straszną broń w ich ręku. Polowanie na lwy, w następstwie pokoju, wprowadzonego przez rząd wielkobrytański — pokoju dla plemion słabszych tak pożądanego, dla rozbójniczych mniej przyjemnego — pozostało jednem z nielicznych zajęć, prowadzącem do sławy takiego młodego wojownika.

Na wezwanie, że jeżeli chcą, mogą wziąć udział w polowaniu na lwy w Sergoi, zgłosiło się na ochotnika 800 wojowników, wśród których jednak zapanowało wielkie niezadowolenie, kiedy z pośród nich wybrano tylko sześćdziesięciu, czy siedmdziesięciu uprzywilejowanych, którzy znów zastrzegli sobie wyraźnie, że pójdą nie jako naganiacze, tylko, że sami będą lwy zabijać i zapowiedzieli, że w przeciwnym razie odmówią naszemu wezwaniu.

Na dzień przed naszem przybyciem do Sergoi, urządzali obławę, której rezultatem było parę lwów na rozkładzie; osaczono je w niewielkich zaroślach i w jednej chwili, zanim zwierzęta mogły stawić jakikolwiek opór, załatwiono się z nimi oszczepami.

Na drugi dzień po naszem przybyciu panowała mgła i padał zimny deszcz i na lwy wcale nie natrafiliśmy. Następnego dnia za to, 20 listopada, sprzyjało nam szczęście.

Wyruszyliśmy zaraz po śniadaniu. Kirka, Skally, Mouton, Jordan, państwo Corbett, kapitan Champan i my —konno; broń naturalnie mieliśmy przy sobie, zadanie nasze jednak polegało tylko na tem, żeby lwa zawracać i zatrzymywać, gdyby go Nandi nie mogli dogonić. Łowami naszymi zamierzaliśmy objąć bagnistą, kilkanaście mil ciągnącą się dolinę.

Wgodzinę dopędziliśmy naszych wojowników, którzy w długiej linii, w odległości 6 do 8 metrów jeden od drugiego, rozciągnęli się po pagórkowatym, wysokiemi trawami zarośniętym stepie. Wspaniałymi okazami byli ci dzicy—zupełnie nadzy, zwinni, jak pantera, z mięśniami, „grającymi" pod ich cienką, gładką skórą. Przez całe życie żywili się produktami zwierzęcymi: mlekiem, krwią i mięsem i na wszelkie wysiłki i niebezpieczeństwa, niesłychanie byli odporni.

Z twarzy ich biła duma, ponurość i nieustraszoność; w biegu byli dziwnie elastyczni: okrycie głowy nosili fantastycznie, na lewem ramieniu, ozdobioną dziwacznemi malowidłami, tarczę ze skóry bawolej, w prawem ręku ów straszny do rzucania, a w bliskiej walce, także do pchnięć

Żywe kuropatwy z Argentyny.

Pod tym tytułem w niektórych pismach niemieckich zamieszczony został artykuł, który wielce może się przyczynić do rozpowszechnienia zupełnie błędnych wyobrażeń o kuropatwach argentyńskich, oraz o zaklimatyzowaniu ich w Europie. Jeden ze znawców tamtejszych stosunków, odezwał się w tym przedmiocie, twierdząc, że cała ta sprawa przedstawia się inaczej.

Niegdyś — pisze on — opublikowałem artykuł o „martinetach", gatunku kur, który na drugiej półkuli, w świecie zwierzęcym zajmuje mniej więcej to same miejsce, co bażant u nas. Zaaklimatyzowanie w Europie martinet, jako ptaków, zahartowanych i posiadających małe potrzeby, uważałem tak dalece za korzystne, że w uniesieniu przyrzekłem różnym interesantom pomoc moją przy ich sprowadzaniu. Ze spokojnem sumieniem mogę powiedzieć, że nie brakowało mi dobrych chęci, wykonanie wszakże spotykało się z licznemi trudnościami. Obecnie po ożywionej i z powodu znacznej odległości, zajmującej dużo czasu korespondencyi, ukazał się promyk nadziei, ale tylko promyk, gdyż i w Argentynie pomiędzy obietnicą a jej dotrzymaniem stawiają długi domyślnik razem z grubym znakiem zapytania. Pomimo to, zdaje się, że pod koniec kwietnia, to jest w czasie, kiedy kończy się pora lężenia martinet, będę mógł dostać kilka okazów tego ptactwa, jeżeli ci panowie, którzy niegdyś interesowali się tą sprawą, raczą mnie zawiadomić, że i obecnie nie przestali się nią interesować. Powiedziałem już, że cała sprawa jest bardzo kosztowną, chociaż na podstawie rachunków mogę dowieść, że nie pragnę nawet całkowitego zwrotu kosztów transportu, tylko pragnę dopomódz dobrej sprawie. Czy wszakże i wyższy steward okrętu „Espagne", należącego do stowarzyszenia „Transports-maritimes" podobnie zapatruje się na sprawę, to inna rzecz. Przypuśćmy że tak; zapewne zadziwi to każdego, gdy się dowie, że koszta transportu mają wynosić po 45 centymów od pary. Tak jest istotnie, jeżeli steward podczas podróży ma wziąć 2 lub 3 pary kuropatw, ale rzecz się ma zupełnie inaczej, gdy odrazu ma wziąć na okręt 600 par.

Radbym poznać tego kapitana, który mimo całej swej uprzejmości, oddałby do dyspozycyi stewarda przestrzeń potrzebną dla odpowiedniej ilości klatek, darmo i bez żadnego wynagrodzenia, nie mówiąc już nic o pożywieniu, którego kuropatwy argentyńskie podczas trzech do czterotygodniowej podróży potrzebują dosyć sporo. Nareszcie, gdyby nawet kapitan dał się uprosić, to nad nim stoją jeszcze inspektorzy.

W Rosario de Santa Pé płaci więc nasz steward po 35 centymów za parę, należy wszakże pamiętać, że w Rosario de Santa Pé, nie centym, lecz centavo stanowi monetę obiegową, ten zaś kosztuje dwa centymy. Teraz następuje rzecz najważniejsza. Chociaż w pewnych miejscowościach Argentyny znajduje się jeszcze wielka ilość kuropatw, to nie łatwo jest ich zdobyć, zwłaszcza w podobnych ilościach; potrzeba kogoś, coby łapanie kuropatw traktował jako swe zajęcie. Takiego zaś człowieka trudno będzie znaleść, zwłaszcza gdy ma pobierać po 35 centawów od pary. Na łowienie przy pomocy rozsypywania pokarmu, nie można liczyć, gdyż z powodu braku śniegu, kuropatwom zawsze jeszcze tyle pozostaje żywności, że nie muszą zaraz iść na lep. Oprócz tego kuropatwy argentyńskie nie żyją w stadach, tak jak nasze. Dorósłszy, rozchodzą się parami lub co najwyżej trójkami. Z tego wynika, że chcąc zdobyć większą ich ilość, należy zainteresować szersze koła, co wszakże tylko wtedy może się udać, jeżeli łapanie kuropatw połączone będzie z większym zyskiem. Gdy stawiałem pierwsze kroki, by zaspokoić żądania tych panów, którzy zwrócili się do mnie skutkiem mych artykułów, moi znajomi na drugiej półkuli, za każdą schwytaną martinetę żądali takiej sumy, że przy dostawie, powiedzmy, tysiąca par, jako łowca, nietylko mogłem zapłacić koszta transportu, ale jeszcze zarobić na wygodny sposób życia. Gdy pytałem ich, czy czasami podczas mej nieobecności nie doznali porażenia słonecznego, złagodnieli wprawdzie cokolwiek, ale odpowiedzieli zgodnie, że łapanie jest wielce utrudnione, i że w stronach, gdzie kultura zrobiła już pewne postępy, ilość martinet zmniejszyła się znacznie. Tak jest w istocie, gdyż nawet najbardziej skąpy Włoch strzela do martinet, wówczas gdy inne słabsze i mniej smaczne ptactwo uważa za niewarte strzału. Kuropatwa bowiem na drugiej półkuli jest znacznie słabsza niż nasza, następnie nie jest smaczna; jest to łykowata o białem mięsie zwierzyna, która nie pozyskałaby uznania naszych smakoszów. Z mojego punktu widzenia, powątpiewam stanowczo, by hodowla kuropatw z drugiej półkuli opłaciłaby się u nas. Jestem tylko przekonany, że dałyby się tylko aklimatyzować, gdyż znajdują się u nas odpowiednie warunki klimatu i pożywienia. W każdym razie niejeden z naszych myśliwych widziałby z radością importowane kury. Argentyńska kuropatwa dosiaduje bardzo twardo i piszcząc, biegnie pewien kawałek drogi, by zerwawszy się po krótkim locie, znowu zapaść w pobliżu. (Krzyżowanie byłoby może bardzo doskonałym środkiem, przeciw osławionej i pożało-

---

używany oszczep, o ostrzu, cztery metry długiem, z miękkiego żelaza, dopóty polerowanem, dopóki nie wyglądał, jak srebro, a tak ostrem, jak brzytwa; niedługie drzewce zaledwo widać było z pod żelaznego także okucia, tak, że broń sprawiała wrażenie, jakby cała była metalowa. A jednak każdy z tych dzielnych wojowników wymachywał ciężkim, połyskującym w słońcu oszczepem, jakby to była zabawka. Stada antylop, paskowatych zebr, dzików pierzchały przed postępującym naprzód szeregiem tych osobliwych łowców.

Było południe, kiedyśmy osiągnęli równinę, porośniętą pośrodku, tu i ówdzie, wznoszącem się sitowiem i zamkniętą z dwóch stron wysokiemi trawami i z zrzadka porozrzucanemi drzewami cierniowemi. Przeszliśmy już parę mil tej równiny, kiedy naraz, na jakie ćwierć mili przed linią myśliwych wyskoczył lew i pierzchnął w gęstą trawę na prawo. Wszyscy jeźdźcy pośpieszyli za nim.

Był to wspaniały zwierz z czarnożółtą grzywą, w całej pełni swoich sił, o potężnych łapach, zakończonych groźnymi pazurami. Leżał koło antylopy, którą pożerał łakomie; jego żywot był nieprzerwanem pasmem rozbojów i okrucieństw i teraz oto, ten król pustyni, tajemniczy strach nocny, miał znaleźć swój koniec z rąk jedynych swoich nieprzyjaciół, którzy się ważyli z nim potykać.

Ujechawszy jaką milę, zdołaliśmy go dopiero osaczyć. Holenderski farmer Mouton, który nawet nie miał strzelby, ale jechał na czele, podjechał prawie tuż pod niego, stanął i cofnął się cokolwiek pod niskie drzewo cierniowe, my zaś poskoczyliśmy na drugą stronę, ażeby nie wypuścić lwa, zanim mogli nadbiedz nasi dzicy współtowarzysze łowów. Pokusa, ażeby strzelać do niego, była bardzo wielka, nie mogliśmy jednak złamać słowa, danego naszym przyjaciołom. Staliśmy tylko w odległości jakich 60 metrów i obserwowaliśmy go z bronią gotową do strzału, na wypadek, gdyby któregoś z nas, albo pierwszych dwóch czy trzech oszczepowców, chciał zaatakować, przed przybyciem innych.

Dzicy nadbiegali, jeden po drugim i zaczęli zwierza ze wszystkich stron otaczać. Każdy, skoro już przystąpił do niego dość blisko, przysiadał w kuczki, kryjąc się za tarczę, z oszczepem w prawej ręce, podczas gdy wzrok ich błyszczał złowrogo z ponad tarczy. Kiedy ludzie zacieśniali coraz bardziej koło, zerwał się lew. Nastroszyła mu się grzywa, ogonem pruł powietrze, łeb zwiesił w dół; paszczę to rozwierał, to zamykał, ukazując kły, długie, błyszczące. Zwrócił potem łeb w jedną stronę, to znów w drugą i wydał przeraźliwy ryk. Groźny widok mieliśmy przed sobą; koło oszczepowców napięte, milczące, krwi chciwe, a pośrodku wściekłość stawała się coraz niebezpieczniejszą.

Zwarte koło było w końcu zupełne, oszczepowcy się podnieśli, postąpili naprzód. Lew zatoczył ślepiami z je-

wania godnej płochliwości naszych kuropatw). Chociaż jestem przeciwny zaprowadzeniu u nas kuropatw argentyńskich, bardzo byłbym rad, gdyby dla martinet dało się zyskać u nas prawo obywatelstwa. Jest to bowiem ciekawy i wdzięczny ptak, który uczyniłby zadość wymaganiom smakosza i myśliwego. Nie będzie brak dobrych chęci i starań, ale jak już powiedziałem, sprawa ta nie jest łatwa. Gdy mówią, że „kraje nad rzeką La Plata obfitują w zwierzynę, na którą ceny są bardzo nizkie", jest to słuszne, ale tylko warunkowo. Jabym powiedział: nad La Platą jest miejscami bardzo dużo zwierzyny, ceny za nią są w miastach bardzo nizkie, na stepie można ją dostać nawet za cenę naboju, ponieważ prawa łowieckie, nie są tam przestrzegane, tak jak u nas, ale stosuje się to tylko do ubitej zwierzyny. Żywa zwierzyna zaś jest bardzo droga, gdyż systematyczne łapanie połączone tam jest z wielkiemi trudnościami.

Budowle i narzędzia łowieckie.

(Dokończenie).

15. KRUK.

Kruk żelazny, bardzo ostro zakończony, 2 i pół stopy długi, w drewnianym trzonku osadzony. Służy do dostawania zwierząt z jam.

16. SIDŁA NA KWICZOŁY.

Sidła zawieszają się wraz z przynętą na kabłąkach, a te zatykają się albo w drzewa, albo w ziemię. Ponieważ przez zatykanie kabłąków w drzewa, te często usychają, użyć natomiast trzeba kołki stóp 8 długie i wkopać je na stopę w ziemię, w każdy taki kołek utwierdzić w górnej jego części kilka kabłąków z prętów pół cala grubych, 20 cali długich, których roztwartość 6 cali przechodzić niepowinna.

Sidła skręcać z sześciu włosów końskich i utwierdzić po 3 w kabłąku, co się najlepiej tak da uskutecznić: rozszczepać ostrym, kończatym nożem mały kawałek kabłąku, zawiązać na spodnim końcu sidła dubeltowy węzeł, a rozdwoiwszy nożem rozszczepaną część kabłąka, przetknąć włos skręcony, aż po za węzeł i nóż wydobyć, tym sposobem sidło wkleszczone zostanie. Nastawiając sidła, otwór zrobić tylko 2 i pół cala w średnicy, który do spodniej części kabłąka o 1 i pół cala dochodzić nie powinien; jarzębina zaś w pączkach być musi i utwierdza się w tenczas u spodniej części kabłąku, tym sposobem jak i sidła.

Kabłąki z sidłami w ziemi zatknięte, nie mogą być wyższe nad 7 cali i też nie szersze; nastawione sidła o 1 i pół cala do ziemi dochodzić nie mają; pod kabłąkami powsypywać nieco jałowcu i jarzębiny, zatkać je zaś w wązkich przesmykach między jałowcami, i nawet zatykaniem gałązek obok nich przejście zatamować tak, że ptaki przymuszone będą pod kabłąkami przechodzić.

W te sidła najlepiej się poławiają jemiołuchy i kwiczoły.

17. WABIK NA WILKI, LISY I SARNY.

Z twardego, suchego drzewa, wytoczyć sztuczkę, na grubość i długość palca średniego, na wierzchnim końcu zaokrągloną; w spodnim końcu wydrążyć dziurkę wielkości naparstka i rozpiłować całą sztuczkę wzdłuż na dwie połowy; brzegi i rowki obrównać pilnikiem, włożyć między te dwie połówki, dobrze wypolerowaną blaszkę mosiężną w kształcie języczka, wierzchni jej koniec zastosować do okrągłości sztuczki drewnianej i spiłować ją tak, aby się zakończyła w cienkości papieru; nakoniec obwiązać u dołu całą sztuczkę mocną nicią, a wtenczas wierzchni koniec blaszki, brzegi rowków dotykać nie będzie. Teraz dąć w wabik i próbować głosu, który powinien być takim, jaki wydaje zając, gdy schwytany zostanie. Takim sposobem da się przywabić wilk i lis. Chcąc zaś wabić sarny tym samym wabikiem, trzeba naśladować ich głos piskliwy i żałosny.

Wabiki na kuropatwy.

1. Wytoczyć kostkę okrągłą, średnicy cala jednego, a grubości 1/4 cala; grubość tę dwie połówki składają, których brzegi na jeden gwint zeszrubowują się, środek powinien być próżny; w środku jednej połówki zrobić dziurkę, wielkości szpilki, a w drugiej na przeciwko tejże otwór nieco większy.

Przyłożywszy większy otwór do zębów, wabik po dziurkę zakryć ustami i ciągnąć oddech w siebie, usłyszymy tu głos chrapliwy, którym przy niejakiej wprawie, łatwo będzie naśladować głos kuropatwy.

2. Bębenek: ten wabik ma skład prosty, a doskonale naśladuje głos kuropatwy, ma tylko tę niedogodność, że wabiąc nim, nie można być zaraz gotowym do strzału. Napiąć na naparstek krawiecki albo na kostkę w tym kształcie wytoczoną, kawałeczek pargaminu, pośrodku tego zrobić igłą małą dziurkę i nawlec w nią przez wierzch włos koński, na końcu węzłem opatrzony.

Zmaczawszy nieco palce wielki i wskazujący, ciągnąć z przerywaniem za włos, a usłyszymy głos, jakim się kuropatwy wabi.

---

dnego końca na drugi, popatrzył, gdzie koło jest najmniej szczelne i skoczył z błyskawiczną szybkością. Zaczęła się chwila naporu. Trzymając silne tarcze i potrząsając oszczepami, przygotowali się najbliżej stojący wojownicy do odparcia ataku i z dwóch stron poskoczyli naprzód na spotkanie ze swoim nieprzyjacielem. Wyprzedzając swoich towarzyszów, wysunął się kierownik wyprawy na odległość rzutu; oszczep zachwiał się, wyleciał z ręki i trafił; kiedy lew uczół ból, zrobił pół obrotu i rzucił się na stojącego najbliżej. Wojownik wypuścił swój oszczep; cios był dobrze wymierzony—oszczep zatopił się w łopatkę tak, że przeszył z drugiej strony udo.

Lew unosząc się na tylnych nogach, rzucił się na swojego wroga, zerwał z niego tarczę, a kłami i pazurami zaspokoił na chwilę swoją wściekłość. Zaraz jednak spostrzegłem, jak nowy, celny pocisk, rzucony z boku, utkwił w jego cielsku i kiedy lew znów się odwrócił, lśniące oszczepy spadały na niego ze wszystkich stron, niby błyskawice. Koniec był blizki. Powalił jeszcze jednego człowieka, który mu wpakował oszczep w ciało, chwycił kłami z taką gwałtownością za ostrze oszczepu, że je zgiął zupełnie, poczem się osunął.

Od chwili ataku do jego śmierci upłynęło zaledwie dziesięć, a może i mniej sekund. Pół tuzina oszczepów, z tych trzy przeszywając mu cielsko na wylot, dokonało swego.

Zabraliśmy się natychmiast do opatrzenia dwóch rannych. Wymycie ran było bardzo bolesne i chcąc im przynieść ulgę, kazałem im podczas trwania opatrunku przez tłómacza powiedzieć, że każdemu podaruję krowę. Nandi cenią swoje bydło wyżej, aniżeli swoje żony, nieszczęśliwcom też na tę wiadomość z uciechy wykrzywiły się twarze i zapomnieli na chwilę o swojem cierpieniu.

Potem okrążyli wojownicy z podniesionemi w górę tarczami martwe ciało lwa i przystępując coraz bliżej do niego powolnymi, tanecznymi krokami, zawodzili jakąś pieśń zwycięzką. Scena ta miała dziwny urok i pozostawiła mi po sobie niezatarte wspomnienie.

Nandi sami ruszyli w powrotną drogę, zabierając dwóch rannych na tarcze, my zaś wracaliśmy manowcami do obozu, z nadzieją spotkania tego dnia jeszcze jednego króla puszczy.

Dzień miał się ku schyłkowi i rzucaliśmy przed siebie długie cienie, kiedy posuwaliśmy się rozległym, pustym stepem. Tu i owdzie jakiś zwierz pierzchał przed nami, rozglądając się dookoła zalęknionym wzrokiem, zimny wiatr smagał nas po twarzy, wysokie trawy kołysały się nieustannie; słońce zachodziło za ciemny wał chmur i właśnie kiedy noc zapadała, ukazały nam się w mroku namioty...

Kończąc ten opis polowania na lwy plemienia Nandi, powiada Roosevelt, że on i towarzysze jego wyprawy pró-

Wabik na siewki.

Najgrubszą kość z gęsi, upiłować równo z obu końców, długości 2-ch cali; o pół cala od jednego końca wydrylować dziurkę i zatknąć kostkę po tę dziurkę szczelnie woskiem, teraz drugi koniec kostki zatknąć nie zupełnie woskiem i w tym przetknąć igłą dziurkę, na przeciw wydrylowanej. Dmiąc w ten wabik, wyda on głos siewek, które w jesieni najlepiej idą na wabik.

Wabik na głuszce, cietrzewie i jarząbki.

Wabiki na te trzy gatunki ptaków, robią się na jeden sposób, tylko do pierwszego używa się kostkę z baraniej nogi, do drugiego najgrubszej kości z gęsi, a do trzeciego pióra gęsiego.

Kostkę długości 4 cali, z jednego końca równo upiłować, a drugi koniec na 2 cale spuścić do połowy; na cal od wierzchniego końca, wypiłować dziurkę, a wierzchni otwór zatknąć szczelnie woskiem i zrobić w nim za pomocą igły mały otwór, na ukos do wypiłowanego otworu.

Chcąc wabić tym wabikiem, trzeba dąć w wierzchni otwór tegoż i dotykając palcem spuszczony koniec kostki, starać się naśladować głos którego z tych ptaków.

Wabik na bekasy.

Wytoczyć z kości wabik grubości gęsiego pióra, na 4 cale długi, w środku wydrążony, lecz nie na wylot; na cal od otworu wypiłować do zadęcia, dziurkę owalną z zacięciem u dołu, u góry wsadzić klinik drewniany, ścięty na ukos, aż do spotkania się z dziurką wypiłowaną.

Wabią się bekasy z rana i wieczór, wybijając głos: „pukut — pikut, pikut — pukut".

Wabik na zające.

Wytoczyć zwyczajny róg wołowy 4 i pół cala i koniec obrównać; otwór u dołu powinien być blizko 1 i pół cala szeroki, a w górę coraz więcej zwężający się, tak aby u góry otwór był pół cala szeroki, i w ten koniec wbić szczelnie klin z twardego drzewa, w którym wywiercić na wskroś dziurkę wielkości pióra kaczego; szeroki otwór zaprawić szczelnie denkiem pół cala grubem, u brzegu roga wyrznąć otwór wielkości małego palca, w kształcie prostokąta, przeciw któremu znów w denku zerznąć w płask, wydrążenie ku temu otworowi.

Zakrywając ustami otwór w denku, dąć z lekka samem tchem tylko, naśladując hukanie zająca.

Wabić tym wabikiem z wieczora lub w nocy w lutym i marcu.

Do wabienia derkaczy, używa się dwóch kawałków drzewa, z których jeden jest nakarbowany, a po tym drugim wzdłuż pociąga się z przyciskiem, jednak ten wabik głos derkacza źle naśladuje i jest mniej uwagi godnym.

Wabik na przepiórki składa się z mieszka i małej piszczałki, a ponieważ nie tak łatwy do zrobienia, aby go każdy myśliwy mógł sobie sam zrobić, albo nieznającemu ten wabik dać zrobić, lepiej kupić gotowy.

---

bowali jeszcze potem namówić dzikich wojowników, ażeby przez kilka dni pozostali u nich, służąc im za naganiaczy. Ci odmówili im jednak stanowczo, mówiąc, że raczej woleliby umrzeć, aniżeli występować na łowach w takim charakterze.

Nie wypadało mi więc nic innego, jak tylko, nie mając już więcej ochoty być jedynie świadkiem łowów, chociażby tak bardzo wzruszających, posunąć się dalej i na innem miejscu rozbić znów namioty.

O odrzucie i ciśnieniu gazów w naszych strzelbach.

Gen.-major Blauel zamieszcza w prasie niemieckiej następujący artykuł w sprawie odrzutu i nacisku gazów w naszych strzelbach. Formuła odrzutu v $(p + {}^1/_2 L = V. W$ [1]), albo raczej v $(p + L$ [2]) polega na zasadzie, że skutkiem działania wyłącznie sił wewnętrznych, położenie punktu ciężkości całego systemu nie może zostać zmienione.

Ta myśl wszakże, jak dowodzi stacya doświadczalna w swym komunikacie, nie jest zupełnie zgodna z rzeczywistością, jeżeli są używane naboje rozrywające, t. j. naboje z bardzo szybkiem powiększeniem ciśnienia gazów. Że nabój wybuchający wywiera jednakowe ciśnienie gazów w dwóch przeciwnych sobie kierunkach broni, można z pewnemi ograniczeniami uważać za dowiedzione, chociaż skutkiem szybkości prądu gazu, mogą powstać pewne małe różnice.

Równe i jednoczesne ciśnienie powinno dokonać jednakową ilość pracy, lecz skutek tej pracy w stosunku do ciężkiej broni i lekkiego pocisku może być rozmaity, i tak też w pewnych warunkach dzieje się w rzeczywistości.

Przeniesienie ruchu na pewne ciało odbywa się skutkiem przeniesienia ruchu od molekuły do molekuły, zależnie od okoliczności, czy uderzenia odbywają się w sposób mniej lub więcej elastyczny. Tak samo jak niema ciał zupełnie elastycznych, tak samo niema i ciał zupełnie nieelastycznych, tak, że zawsze spotykamy się z pewnym stopniem elastyczności.

Przeniesienie więc ruchu na pewne ciało wymaga pewnego, określonego, chociaż bardzo krótkiego przeciągu czasu, a długość jego zależeć będzie od wagi i wielkości owego ciała.

Gdy brak czasu na prężne przeniesienie ruchu z molekuły na molekułę, uderzenie staje się mniej lub więcej nieelastyczne, przeniesienie uderzenia jako ruchu, staje się słabsze. Uderzeniem nogi odrzucamy na bok płytę grafitową, kula karabinowa zaś przebija płytę, nie poruszywszy jej w żadnem miejscu. Skutkiem krótkości czasu, ostatnie uderzenie przestaje być elastycznem.

Przy zupełnie elastycznem uderzeniu odbywa się przeniesienie całej ilości siły poruszającej z jednego ciała na drugie; przytem cała siła poruszająca pozostaje ta sama.

Przy nieelastycznem uderzeniu następuje pewna strata żywej siły (Strata $= \frac{M\ V^2}{2} \left(\frac{m}{M+m}\right)$ [3])] Ta strata siły poruszającej zamienia się w mechaniczną robotę, w wywołanie trwałych zmian postaci, w wytworzenie drgań dźwiękowych i ciepła.

Wszystkie te drgania uszkadzają nie tylko miejsca połączeń, ale pomału zmieniają także samą wewnętrzną strukturę metalu, czynią go z czasem coraz więcej kruchym.

---

[1]) v = szybkość początkowa.
p = ładunek śrutu.
L = nabój prochu.
V = szybkość odrzutu broni.
W = waga broni.

[2]) Ponieważ szybkość odrzutu broni stanowi tylko drobny ułamek szybkości początkowej pocisku, większa część naboju, czyli powstałe zeń gazy, zostają pchnięte w kierunku pocisku.

[3]) M = poruszające się pociski.
V = ich szybkość.
m = uderzona masa.

Broń nadwyrężona skutkiem wielu strzałów, zwłaszcza z rozrywającymi nabojami przy strzale z niepomiernie wysokiem ciśnieniem, wystawiona jest bardziej na rozerwanie, aniżeli broń nowa.

Słaby odrzut rozrywających naboi, dowodzi, że siły zamienione zostały na pracę niszczącą. W każdym razie, wobec dzisiejszych, udoskonalonych gatunków stali, siły te dłuższy czas mogą być czynne, zanim wytrzymałość ich stanie się mniejsza, niż wytrzymałość dawniej używanych materyałów.

Pewną oryentacyę śród procesów, jakie podczas strzału odbywają się w lufie, umożebnia nam znajomość czasu pojedyńczych faz strzału, t. j. czasu trwającego od chwili uderzenia igły w kapiszon aż do chwili opuszczenia wylotu przez śruty. Podług „Pruskiego Podręcznika do strzelania ze strzelb“ czas ten wynosi:

przy użyciu prochu zwyczajnego 0,006 do 0,007 sekund;

przy użyciu zaś prochu gatunku nitratowego, oraz zastosowaniu silnego zapału, tylko 0,002 sekundy.

Wobec szybkości początkowej, 380 metrów, oraz przy użyciu wspomnianego prochu nitratowego, ładunek powinien w przeciągu nie więcej jak 3/10000 sekundy uzyskać całą swoją szybkość, wówczas gdy przy użyciu prochu zwyczajnego nietylko szybkość, ale nawet powiększenie się szybkości wzrasta pomału, wzmagając się dopóty, dopóki pocisk nie opuści lufy.

Wymiary pruskie uważamy w niniejszych rozstrząsaniach za niepodlegające żadnej wątpliwości.

Jest to wielką zasługą stacyi doświadczalnej w Neumannswalde, że skutkiem odpowiednich obliczeń i publikacyi stworzyła podstawę do balistyki strzału śrutem, która ostatecznie nie przejdzie bez korzyści dla strzelców i myśliwych.

Popierana wielce przez wielkie fabryki oraz rozmaite instytucye państwowe balistyka broni gwintowanej, miała ten rezultat, że w ostatnich 50-ciu latach broń ta uległa udoskonaleniom, które niegdyś uważane były za niemożliwe. Taka równomierność ciśnienia gazów, jak przy broni gwintowanej, nie da się nigdy osiągnąć u strzelb przeznaczonych do strzelania śrutem, wszakże bardzo słusznie można się jeszcze spodziewać udoskonaleń. Śmiało można utrzymywać, bez żadnej obawy opozycyi, że dzisiejsze wiercenie luf przeznaczonych do strzelania śrutem, nie zostało dopasowane do siły wybuchowej prochu nitratowego. Wobecnych warunkach dalsze udoskonalenia można tylko osiągnąć za pomocą doświadczeń. Wszakże wiele przemawia za tem, że użyciu prochu nitratowego towarzyszyć będzie zmniejszenie kalibru strzelb.

Z toków i ciągów Poleskich tegorocznych.

I znowu głuche, marzące ostępy Jamickie pochłonęły całe moje jestestwo...

I znowu rok walki życia minął!.. Przez ten czas zamarł niejeden promień radości w sercach i duszach ludzkich, bez żadnej nadziei odrodzenia!..

Lecz tu w mrokach leśnych, starego Polesia, jak ongi przed wieki ubiegłymi, to samo piękno życia panuje, ta sama gra kolorów, ta sama hosanna szczęścia, jednakowa wiosna rozkwita, której widok — serca pradziadów naszych zawsze „srodze“ weselił!

Minęły szarugi jesienne, mrozy i śniegi zimy siarczystej! Zgwałcona natura z grobu śmierci swej w potędze sił nowych rozkosznie powstała!

Pierwsza noc w kurzeniu, miała akordem swego zakończenia wspaniałego koguta głuszca, który grał znakomicie. W samą porę i pod pieśń padł w ogniu we mchy głębokie, w mistycyzmie rzekłbyś świątyni gotyckiej, do której niemal zbliżone są podgłębia leśne, śród kolumnady pni drzewnych we mgle przedświtu majaczących!

Wieczorem stałem na wybornym ciągu słonek.

Padło pięć sztuk długodziobych, tajemniczych ptaków.

Ranek następny spędziłem w budce na tokach cietrzewich.

Do dziesięciu liroogoniastych, pięknych kogutów tokowało zawzięcie.

Gdy się rozwidniło zupełnie, i gdy słońce złote w purpurach i blaskach szkarłatu zorzy, w olśniewających snopach światła już, już miało się ukazać, raptownie tok się przerwał.

Każdy cietrzew zamilkł i w miejscu swem przykucnął.

Był to jakby hołd oddany Tajemnicy Przyrody, jakby poczucie instynktownego wstydu, że nie wolno do wielkiego Aktu życiodajnego Natury przyłączać nuty upojeń miłosnych, osobistych, chociaż by cietrzewich!

Była to bezwiedna niemal modlitwa potędze Stwórcy, korzenie się w prochu „Chanteclair'ów“ błot i obszarów rozległych.

Chwil kilka ciszy kontemplacyjnej i znów prawa życia biorą górę, znowu namiętne „czufykanie“ rozlega się, gruchające dźwięki tokowe, podskoki, pląsy dziwaczne, uganianie się wzajemne, batalie zawzięte...

Pióra lecą — krwi krople nawet!

Śród bojowników zaperzonych, sylwetki skromnych cieciorek, jak cienie, snują się po tokowisku.

Z niewinnemi minkami, jakby wcale nie o nie tu chodziło, drobnymi kroczkami po piasku biegają, ziarnka żwiru niby to dziobiąc.

Kokietują tą swą udaną obojętnością walczących o nieczarnych rycerzy.

Od czasu do czasu, gdy któraś z dam już literalnie wytrzymać nie może, „n'en peut plus“, rozlega się miłosne kwokanie i leci flirtująca Małgorzatka w „bahuny“ i wrzosy poblizkiej polanki, leci i błaga wybrańca, by za nią podążył, czar rozkoszy, pieszczoty swe obiecując szczodrze!

Lecz nie nadeszła chwila ta jeszcze, gdy tylu rywali na placu obok, tyle skrzydeł o białej przepasce ziemię bije, tyle lir piórowych wachlarzy pionowo się roztacza, tyle obietnic dławionych upojeniem gardzieli się rozlega.

Oto niedaleko budki dwa wspaniałe, stare koguty za bary się wzięły.

Czerwone korale brwi, jak kwiaty przepyszne goreją na czarnem tle upierzenia; szyje lśnią się szafirem metalicznym, liry ogonów aż ziemi dotykają...

Biorę oba na cel.

Chwila!

Drgające dwa ptaki tarzają się w mękach ostatnich, dogorywają nakoniec i czarne dwie sylwetki na zawsze zastygły.

Śmierć ich pogodziła!

Złote promienie słońca, powiewy wiatru igrają nad niemi.

Requiescat in pace!

* * *

Korzystając z zaproszenia i ujmującej grzeczności pp. Hieronimowstwa Kieniewiczów, po paru dniach opuściłem miłe tereny Jamickie, jak zawsze, ze szczerą wdzięcznością w sercu dla właściciela pana Dominika Dowgiałły i przybyłem do dworu Bryniowskiego na kałamaszce leśnika Henryka.

Jechać wypadło, dla skrócenia drogi, po polesku mówiąc *„na pramiki“* przez rojsty dzikie, przez brody pełne „korczów“ i jam zdradzieckich.

Bajecznych rozmiarów olchy i osiny,. przeplatane u dołu łozą nieprzebytą, drzemały cicho na kilometrach całych bagien i moczarów.

Prawdziwy „matecznik“ puszcz Mickiewiczowskich, o tajemniczych jeziorkach rdzawej wody, w których, zda się, po nocach czarownice i dyabły trupy grzeszników warzą, orgie swe piekielne z Brockenu legend giermańskich do topielisk litewskich przenosząc.

Oto i dwór, stara siedziba Breniowska.

Kałamaszka wysuwa się z mroków leśnych, ustaje

męka podskoków nadzwyczajnych, wjeżdżam w oazę stworzoną pracą gorliwą, z wiedzą gruntowną, miłością i przywiązaniem głębokiem do tej naszej, świętej Matki-ziemi ojczystej pokoleń całych, jako też obecnego dziedzica.

Nie znam rezydencyi, wywierającej wrażenie podobne Breniowskiej!

Pola, których piędź każdą wodzie i korzeniom latami całemi odwojowywać trzeba było, a wszystkie w wysokiej kulturze rolnej będące; zamaszyste i tęgie zabudowania gospodarskie; kolejki Dekowilskie dla rozwożenia nawozów; spazmatyczny oddech motorów gorzelnianych, światła naftowo-żarowe na majdanach dworskich...

A dwór praojców, nasz prawdziwy, poczciwy, polski dwór, okrążony lamusami i wędlarniami, na które nieraz brat kwestarz, Michał Ławrinowicz w swych peregrynacyach z pożądliwością musiał spoglądać...

A ze dworu tryskają na ludność okoliczną, na szmat kraju naszego: kultura, łagodność, rozkwit prawdziwie chrześcijańskich uczuć dziedziców.

A okolone to wszystko, aż hen, na okrąg horyzontu, czarną masą lasów, przestrzenią mokradeł i łąk rozległych.

Fatalne niepowodzenie miałem następnego ranka.

Z Morozem podskoczywszy do głuszca, grającego na sośnie, śród wzgórz uroczyska „Wiazichy", za gorączkowo strzeliłem do ptaka.

Przesiadł się na oboczne drzewo.

Drugi też rzutowy strzał...

Zrywa się wspaniały kogut i mocno ranny nizko ciągnie w „bahuny" rojstu odległego, w którym też żywot zakończa.

Drugi strzelany egzemplarz, takiż sam los spotyka.

Godzinę całą później szukaliśmy z Morozem na próżno smutnych trofeów porannych.

Jeszcze raz epizod niefortunny ten dowodzi koniecznej potrzeby dobrego wyżła aportera na tokach. Zostawić go należy w kurzeniu lub przy bryczce, a dopiero po skończonych łowach odbyć lustracyę terenu, w którym się podstrzałki schroniły.

Odnaleźć rannego prawie niepodobieństwo, tak umie się król lasów doskonale zaszywać w zawały, łomy i wrzosy.

Zwykle w ciągu lata pastuszkowie, brodzący z bydłem czyli „towarem", po puszczy, odnajdują szczątki poległych głuszców, jak rok temu znaleźli jednego, przezemnie też nieszczęśliwie strzelanego.

Jakiż to bolesny widok, takie marne resztki, prawdziwy *„crevecoeur"* myśliwski.

Wolę dziesięć razy spudłować „na czysto" do głuszca, niż jednego stracić w podobnych warunkach.

Przyszedł mi na myśl mój wierny, stary legawiec, rasy niemieckiej „Hektor", i aż płakałem prawie, nie mając go u nóg swoich.

No, jeśli Bóg da, będzie to, jak wiele razy, jeszcze jedna nowa lekcya życiowa na przyszłość.

Wieczorem tegoż dnia stanęliśmy na ciągu słonek z gospodarzem i jego stałym gościem wiosennym i letnim, doktorem Stankiewiczem z Warszawy, a najmilszym w świecie człowiekiem i towarzyszem, wybornym znawcą i adoratorem Polesia „de re et nomine".

Staliśmy w wodzie na ogromnie szerokiej „smudze".

Cudny wieczór wiosenny tą symfonią gwary ptasiej, bekasów „beczeniem", rechotaniem żabek, chrapaniem słonek, harmonią barw przecudnych, balsamem powietrza... Czarowny skon dnia zmienił się w święto prawdziwe.

Niebyło więcej goryczy, zwątpień i bólów serca — radość li tylko ogromna! Przebaczenia i litości moc nieograniczona!

Chrapnięcie obok!

Strzał celny pana Kieniewicza, a potem chlupięcie wody, zatem koniec nadpowietrznej *„demoiselle au long bec"*.

Chwila... druga słonka nademną ciągnie.

Obłok dymu mej starej Szajlerówki, (co za herezya jeszcze dymnego prochu używać — nieprawda? Cóż robić — „mea culpa"), i jeszcze jedną słonką mniej na świecie szerokim.

Ciemnieje coraz bardziej.

Wtem z za drzewa, na seledynowem tle z ciemno szkarłatnymi obłoczkami nieba pojawia się nowa długodzioba... Składam się momentalnie. Szmatką bez życia spada śliczna „waldschnäppe".

Nie zauważyłem drugiej goniącej za pierwszą moją ofiarą.

Był to więc samczyk, a poległa, niestety, samiczka.

Nigdy, pierwszej lecącej nie należy strzelać, gdy ją inna prześladuje, bo ona pewno, nie Romeo słonkowy przodować będzie.

Biedny, rozkochany rycerz zoczył upadek uroczej towarzyszki, wytłómaczył to sobie jako krwi gorącej wrzenie, jako chęć do intymności, śród koczek błotnych i paproci zwiędłych, przeszłorocznych.

Zaczął więc jak szalony, krążyć, chrapiąc i popiskując nad miejscem wybranego łoża miłości, gdy ono śmiertelnem już dla pięknej Julii się stało.

Leciało to biedactwo przez kraje dalekie, w delcie Nilu u stóp Piramid Faraonów Egiptu, sił dla godów weselnych nabierając, od chciwości Europejczyków cudem się ocaliło w czasie długiej podróży i wróciło wierne ziemi rodzinnej, a droższy nad wszystkie widziane śliczności, — wróciła do Polesia starego, by tu nie od nadmiaru szczęścia rozkoszy, lecz z ręki doświadczonego myśliwego poledz...

Smutno mi się stało!

Ale cóż robić, widać fatalizm przeznaczenia!

A samczyk wciąż krążył... i przekonawszy się nareszcie, że niema już wybranej... tęsknie popiskując, dalej odleciał... szukać zapewne nowych bogiń... a o te i u ludzi nie trudno... u słonek zaś tembardziej.

Znikł mi z oczów ptak tajemniczy, ptak szarej godziny, nocnych, skrytych wędrówek i mimowoli słowa starej poezyi, cudnej epoki XVIII stulecia, kiedy to tak subtelnie wszystko odczuwać umiano, przyszły mi na myśl:

Salut, trois fois salut, dame aux sombres couleurs,
Voyageuse automnale a la robe frileuse,
Toi qui craint les grands froids et les grandes chaleurs,
D'ou nous vient tu, reponds sombre voyageuse.

O kim tu mowa?

O jakiejś wspaniałej, błędnej podróżnej, nieprawdaż? Dama o ciemnych szatach, zapewne oblubienica średniowiecznego minstrella, pazia uroczego, który dziecinnie ledwie rąbek szaty ukochanej odważy się ucałować...

Nie!

Nasza tylko poczciwa słonka natchnęła poetę!

Dzięki mu!

Adam hr. Rzewuski.

Dnia 8 maja 1911 roku.

Myślistwo w dawnej Polsce.

Za Mieczysława Starego ściśle przestrzeganem było dawne prawo książęce, zwane leśne, na mocy którego jedynie tylko książętom wolno było polować we wszystkich kniejach całego kraju. Gdy kto zabił niedźwiedzia lub innego zwierza, instygatorowie ciągnęli go do sądu i skazywany był na grzywny. Bolesław Wstydliwy nad miarę wielkim był miłośnikiem myślistwa: jego przejażdżki, w tym celu po kraju odbywane, niszczyły poddanych. Kazimierz Wielki na łowach zranił nogę, co śmierć jego przyśpieszyło, a pod krakowskim zamkiem miał zwierzyniec dla swej rozrywki. Namiętnie oddawał się polowaniu Jagiełło, dlatego chętniej mieszkał na Litwie, jak powiada Stryjkowski. Nawet na jego grobowcu ptak i dwa psy są wyobrażone, zamiast lwów, jak to wówczas wzorem zagranicy było w obyczaju.

Kazimierz Jagiellończyk niejedną poświęcił chwilę polowaniom, podobnie jak Zygmunt Stary i brat jego Fer-

dynand Fryderyk. Gdy Zygmunt August rządy Litwy miał sobie powierzone, Polakom, którzy byli przy nim, przykrzyło się nieraz bez końca po puszczy upędzać za niedźwiedziem. Używał tej rozrywki i Stefan Batory, a Władysław IV nad inne rodzaje łowów przekładał polowanie z sokołami na czaple. Jedna z nich, schwytana 18 maja 1647 r. i wypuszczona z obrączką na szyi ze stosownym napisem, złapana została w 30 lat potem, 19 lipca 1677 r., jak o tem świadczą notaty w kalendarzu, ręką Sobieskiego zapisane. Oddawali się myślistwu August II i August III, często odwiedzając kozieniecką puszczę. Łowicz otoczony niegdyś lasami, wziął swą nazwę od łowów, które tam odbywali książęta mazowieccy.

Znakomitsi pisarze nasi chwalili to upodobanie w łowach, jako szlachetną rozrywkę, godną rycerskiego narodu. Było ono powszechnem, gdyż, idąc za przykładem swych władców, smakowała w niem szlachta ,nawet ci, co choćby jedną posiadali wioskę, i duchowni i świeccy, słowem cały stan rycerski. I kobiet myśliwych było w Polsce pełno, jak świadczą o tem dawni pisarze nasi. Helena, żona Aleksandra Jagielończyka, zawsze towarzyszyła z orszakiem swych niewiast. Odważna Bona, małżonka Zygmunta I, często na myśliwskich zabawach bywała obecną. Na polowaniu w Niepołomicach, kiedy szczwano ogromnego niedźwiedzia, przywiezionego z Litwy, zwierz rozjuszony, powaliwszy Ożarowskiego i Tarłę, rzucił się na królowę. Gdy uciekała przed niebezpieczeństwem, koń pod nią się potknął, i królowa upadła, a wypadek ten pozbawił kraj nasz drugiego potomka królewskiego rodu, który byłby może przedłużył dynastyę Jagielonów. Platerowa, starościna gielździańska, polowanie uważała za najmilszą zabawę, a pokoje jej zawsze były napełnione myśliwskimi psami.

Stosownie do rozmaitości gatunków zwierzyny, rozmaite też były rodzaje polowania: polowano z obławą, z ptakiem, z psami, lub bez psów na upatrzonego, za pomocą sideł lub sieci, z prosięciem — przeważnie na wilki, z budy, o zmroku, lub przy latarniach i pochodniach. W porównaniu jednak do tych dawnych łowów, wymagających znacznej zręczności i siły, częstokroć bardzo niebezpiecznych, czemże są dzisiejsze nasze polowania na zające i kuropatwy?

Ptactwo afrykańskie.

W drukującej się obecnie w kilku pismach polskich, powieści Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy", autor daje między innemi opis ptactwa afrykańskiego, powołując się na pracę redaktora naszego pisma. Odnośny ustęp brzmi jak następuje:

Wśród drzew roiło się ptactwo. Rozmaite gatunki gołębi, wielkie dzioborożce, które Staś nazywał tukanami, kraski, szpaki, sinogarlice i niezliczone, prześliczne „bengalis", kręciły się w gąszczu liści, lub przelatywały z jednej kępy na drugą, pojedyńczo i stadami, mieniąc się jak tęcza. Niektóre drzewa wydawały się zdaleka okryte różnokolorowem kwieciem. Nel zachwycała się szczególniej widokiem rajskich muchołowek (Terpsichore viridis) i czarnych, podszytych ponsowo, sporych ptaków (Laniarius erythrogaster), które odzywały się głosem pastuszej fujarki. Cudne żołny (Merops Nubiensis Sztolcman „Nad Białym Nilem"), z wierzchu różowe, a pod spodem jasno niebieskie uwijały się w blasku słonecznym, chwytając w lot pszczoły i koniki polne. Na wierzchołkach drzew rozlegały się wrzaski zielonych papug, a czasem dochodził głos jakby srebrnych dzwonków, którym witały się wzajem małe, zielono-szare ptaszyny, ukryte pod liściami adausonii.

Przed wschodem i po zachodzie słońca przelatywały stada miejscowych wróbelków, (Quelea Aethiopica, Sztolcman „Nad Białym Nilem"), tak niezliczone, że gdyby nie pisk i szum skrzydełek, możnaby je było poczytać za chmury. Staś przypuszczał, że to te krasnodzióbki dzwonią tak, rozpraszając się we dnie po pojedyńczych kępach.

Lecz największem zdumieniem i zachwytem napełniały oboje dzieci inne, latające w małych stadkach, ptaki, które dawały prawdziwe koncerty. Każde stadko składało się z pięciu lub sześciu samic i jednego, połyskującego metalicznemi piórami samca (Herbert Ward „Chez les Cannibales de l'Afrique centrale"). Siadały one szczególnie na pojedyńczych akacyach, w ten sposób, że on umieszczał się na wierzchołku drzewa, one poniżej — i po pierwszych tonach, które wydawały się jakby strojeniem gardziołek, on rozpoczynał śpiew, a one słuchały w milczeniu. Dopiero, gdy skończył, powtarzały jednogłośnym chórem ostatnią zwrotkę jego śpiewu. Po małej przerwie, on znów zaczynał i kończył, one znów powtarzały — poczem całe stadko przelatywało falistym, lekkim lotem na następną, najbliższą akacyę i koncert, złożony z solisty i chóru, rozbrzmiewał w południowej ciszy powtórnie. Dzieci nie mogły się tego dość nasłuchać. Nel pochwyciła przewodnią nutę koncertu i razem z chórem samiczek wyśpiewywała swym cienkim głosikiem ostatnie tony, brzmiące, jak szybko powtarzane dźwięki: „tui, tui, tui, tui, twilingting! ting!"

Z wyprawy Sven-Hedina.

(Psy.—Wilki.—Kruki.—Yaki.—Łowcy).

W opisie drugiej wyprawy słynnego podróżnika, Sven-Hedina, do Tybetu, znajdują się niektóre szczegóły, specyalnie ciekawe dla myśliwych.

Opisuje on, między innemi, sceny następujące:

Za Pobrangiem już czuć było groźny oddech pustyni. Jak okiem zasięgnąć daleko na wschód, ciągnęła się jednostajna, łagodnie falista równina; wyniosłości były tu mniejsze, wąwozy płytsze, wody zupełnie brak. Powietrze prawdziwie tybetańskie: to suche i znojne, to mroźne, gdy się słońce schowa za chmury i wiatr tumanami piasku zasypuje.

Na drugi dzień rano rozesłała się przed oczyma bezbrzeżna, oślepiająca płaszczyzna, przez noc zasypana śniegiem. Tam, o kilka dni wstecz jeszcze lato w pełnym rozkwicie; tutaj, jeżeli nie zima, to jej pierwsze przynajmniej, groźne przedsmaki. Niektórzy z ludzi, pochodzący z nizin indyjskich, po raz pierwszy widzieli śnieg w swojem życiu; zabrane z Simli psiaki szczekały na niego, gniewnie, długo i uporczywie.

Nie doszedłszy do szczytu, padł piękny koń sanskarski ze wzdętym brzuchem i zimnemi nozdrzami, z których buchała krew. Wobec daremnych wysiłków, żeby go podnieść, musiał zostać tam i długo jeszcze widziała go karawana, jak czerniał na śnieżnej pościeli. Może przerażony tym widokiem, zerwał się nagle jeden z psów, wziętych z Pobrangu i otaczając wielkiem półkolem obóz, nie odwracając łba na nawoływania, umknął z powrotem do domu. Nawet nędzne życie w Pobrangu wydało mu się milsze, niż te pustki.

Jakby szalone ze zmęczenia i trwogi konie korzystały z pierwszej, nadarzonej okazyi, żeby uciekać w pustynię, gdzie ich trzeba szukać z najwyższym trudem. Raz jeden z ludzi — Rabsang—trzy dni spędził przy dwudziestu z górą stopniach mrozu na takich poszukiwaniach i w dodatku na poszukiwaniach bezpłodnych. Okazało się, że wilki zagnały konie na długi i wązki cypel, wrzynający się w głąb jeziora, i na miękkiej ziemi znać było doskonale: pośrodku mocne, rozpaczliwe uderzenia kopyt uciekającego w śmiertelnem przerażeniu zwierzęcia, a po bokach lżejsze ślady goniących go zaciekle prześladowców. Na samym jednak końcu cypla ślad kopyt urywał się nagle, wilcze zaś wracały z powrotem, a że nie było krwi, ani kości, przeto należało przyjąć za domysł niczem nie zbity, że biedak wolał skoczyć w mroczne i lodowate otchłanie nieznanych wód, aniżeli być żywcem rozszarpany. I można wierzyć Hedinowi, że go długo, długo jeszcze prześladowała wizya tego strasznego momentu, jaki nieszczęśliwe, oszalałe trwogą zwierzę przeżyło przed śmiercią.

To też za tą garstką ludzi i zwierząt, która się z zaciętymi zębami drze naprzód przez kamienną pustynię,

ciągnie już teraz całe stado kruków, nawpół oswojonych, sytych, z pogardliwem lekceważeniem traktujących psy, które je usiłują odstraszyć. Mają się dobrze, żywności im nie brak i zaledwie koń lub muł jaki padnie, już siedzą na nim, wyrywając oczy, póki ciepłe i lśniące.

Pod sam wieczór wyszły na najbliższy obozu pagórek dwa wielkie yaki, patrząc ze zdziwieniem na nieznane stworzenia, które przyszły zakłócać spokój pustyni. Ale, że mięso ich jest mało zdatne do użytku, zostawiono je w spokoju i wkrótce zniknęły w ciemnościach.

5-go listopada znaleziono ognisko, którego popiół ostygł przed kilku zaledwie dniami; obok leżały kości zabitego yaka, a znajdujące się w pobliżu wały ziemi i doły ludzką ręką kopane, zdradzały niedawną obecność poszukiwaczy złota. Odjechali oni stąd, boć teraz, kiedy ziemia była tak zmarznięta, że wbijane w nią koły żelazne gięły się i skręcały, jak cienkie druty, nie można było kopać dołów, ale tem niemniej przeto były to świeże ślady ludzi, którzy tu przebywali napewno.

Tuż obok tryskały ciepłe źródła o temperaturze 14° i kilka metrów naokół ziemia była pozbawiona śniegu, dalej natomiast trudno ją było odróżnić od głazu.

Tutaj i tegoż dnia urzędowy strzelec karawany, Tundup Sonam zabił znowu wielkiego yaka. Przyszło ich całe stado do źródeł i po pierwszym strzale pierzchnęły wszystkie w nieładzie, z wyjątkiem tego jednego, który, będąc już ciężko ranny, rzucił się z wściekłością na strzelca. Na szczęście Tundup nie chybiał nigdy i druga, wprost w serce wymierzona kulka, zwaliła napastnika na ziemię. Olbrzymie jego, czarne zupełnie cielsko, odbijało się ciemną plamą od czerwonej barwy gruntu, a tak był ciężki, że ledwo dwunastu ludzi mogło go z trudem poruszyć.

W dwa dni później jednak zaszła przygoda, która o mało co smutnie się nie skończyła. Hedin z Robertem dojeżdżali już właśnie do obozu, Rechim Ali towarzyszył im pieszo. Między nimi a obozowiskiem pasł się w pobliżu mułów i koni ogromny yak, do którego nagle z namiotu Muhameda Izy padł strzał. Trafione widocznie zwierzę zatoczyło ogromne półkole i zawróciwszy się niespodzianie, runęło wprost na przerażoną gromadkę. W pierwszej chwili można było przypuszczać, że yak pójdzie bokiem, ale kiedy ten, nie zbaczając ani na cal z drogi, sadził wciąż ogromnymi susami i zbliżał się z błyskawiczną szybkością, nie było rady, jak spiąć konie i gnać, co tchu starczy w piersiach w przeciwną stronę. Nawpół żywy Rechim Ali, uczepiwszy się końskiego ogona, wydawał niezrozumiałe okrzyki i już, już rozszalały byk miał wziąć hedinowego konia na rogi, kiedy nagle zawrócił znowu na miejscu i rzucił się na Rechima Aliego. Ochłonąwszy ze strachu i rozejrzawszy się w koło, dostrzegł Hedin, że yak pędzi na pustynię, a na ziemi leżą zwłoki Aliego. Tak mu się przynajmniej w pierwszej chwili zdawało, bo kiedy się do niego zbliżył z Robertem, rozległ się jednak drżący głos biednej ofiary: „dajcie mi pokój, ja już i tak nie żyję". No, jeśli tak, to już tylko trzeba go było prędko podnieść, zanieść do namiotu i cieszyć się, że oprócz oszołomienia i bezmała utraty przytomności, które trwały kilka dni, przygoda skończyła się tak szczęśliwie.

Dzień 12 listopada zaczął się znowu smutno: trzy, pozornie zupełnie jeszcze zdrowe i mocne konie, które do wczorajszego wieczora dźwigały na sobie ciężar, padły prawie że znienacka. I to właśnie wtedy, kiedy się zapowiadał, a przynajmniej zbliżał kres trudów. Byłoby to również denerwujące, jak groźne, gdyby nie pociecha, którą przyniósł z sobą wieczór.

Napotkano mianowicie dwóch najautentyczniejszych, najprawdziwszych Tybetańczyków. Sprowadzenie ich do obozu kosztowało oczywiście niemało trudu i trzeba było aż uciec się do niewinnego kłamstwa, że karawana odprowadza wielce znakomitego lamę z Ladaku. Coprawda, kiedy już przyszli i zamiast lamy, zastali europejczyka, nie zdawali się być tem ani zdziwieni, ani zawiedzeni, tembardziej, że stosunki nabrały niebawem bardzo przyjaznego charakteru.

Właśnie niedawno przyjechali tu spędzić zimę. Z zawodu obaj byli łowcami. Starszy—obydwaj mogli mieć 40—50 lat — miał twarz mocno do małpiej podobną, młodszy natomiast wyglądał raczej na członka bandy rozbójniczej i wogóle na człowieka z bogatą przeszłością. Pierwszy miał na czarnych, do strączków podobnych włosach okrągłą, futrzaną czapczynę, drugi baszłyk, zakrywający cały wierzch i tył głowy. Stare, zniszczone futra, ogrzewały ich, jak się zdawało, całkiem wystarczająco, na nogach mieli pantofle filcowe niegdyś białe, spodnie przy dwudziestu kilku stopniach mrozu świeciły nieobecnością. Siedzieli na małych, szarych, doskonale do klimatu przystosowanych konikach, które żyły ze sobą w wyborner zgodzie i niebawem zaprzyjaźniły się z całą zwierzęcą połową karawany.

Na plecach wisiały im jakieś przedpotopowe strzelby z widłami, za pasem tkwiły noże i szable; amunicya, magazyn niezbędnych narzędzi i sprzętów oraz śpiżarnia były w zanadrzu. Od czasu do czasu wyciągali stamtąd coś ogromnie zeschniętego, zczerniałego i twardego, co okazywało się suszonem mięsem i co po pokrajaniu nożem na paski spożywali z nadzwyczajnym apetytem, dając też z ręki po kawałku koniom, które się bezzwłocznie zgłaszały po swoją porcyę. Dodać trzeba, że wedle tych północno-tybetańskich poglądów kulinarnych, tem jest mięso lepsze i smaczniejsze, im starsze.

Jakkolwiek w namiotach swoich mieli małe stadka oswojonych yaków i kóz, głównem przecie zajęciem było myślistwo, które zresztą, sądząc z tego, co opowiadali, niewiele miało wspólnego z tem, co się u nas myślistwem nazywa. Nie mówiąc bowiem o tem, że nie była to rozrywka, jeno środek do życia, sposoby i metody, jakich te dzieci pustyni używają, mogłyby się wydać najbardziej nawet zapalonemu u nas łowcy nieco przytrudne. Przedmiotem łowów były najczęściej yaki. Ale yak jest zwierzęciem, nietylko groźnem i dzikiem, ale i czujnem niezmiernie. Żeby go podejść, trzeba znać jego zwyczaje i jego upodobania, tak, jakby się było samemu yakiem. Trzeba go ze swoją niedaleko bijącą strzelbą podejść pod wiatr, trzeba go wziąć tak dobrze na oko, żeby od pierwszego wystrzału niechybnie położyć, ustawić strzelbę na widełkach, skrzesać na hubkę ognia, zapalić od niej lont i doczekawszy się odpowiedniego momentu—strzelić i trafić. Kiedyindziej trzeba siedzieć dzień cały na mrozie przy źródle, czekając na dzikie osły, które tu pod wieczór przychodzą gasić pragnienie, albo budować kunsztowne pułapki na antylopy. Ten sposób łowów opiera się na spostrzeżeniu, że antylopa ma wstręt do przeskakiwania małych wyniosłości gruntu, zwłaszcza, jeżeli się ciągną długim a wązkim pasem. Układa się przeto sztuczny mur z kamieni i nagnawszy na niego antylopy, pozwala im się biedz wzdłuż muru, aż do pierwszych nastawionych sideł, czy raczej stryczków, sporządzonych ze sznura.

A tymczasem kobitey zajmują się w domu pilnowaniem stada. Wieczorem zasiadają wszyscy przy ognisku, nad którem wisi najlepszy z przysmaków—cegiełkowa herbata chińska i o ile jest czem ją odpowiednio zaprawić, to jest, o ile jest w namiocie dosyć masła, wszystko idzie jaknajlepiej na tym najlepszym ze światów. Po krótszem czy dłuższem życiu, kiedy *czangpas* zamyka oczy, niosą go do jakiejś, niezbyt głębokiej rozpadlinki i pozostawiają na żer wilkom i krukom. To jest cała treść życia.

Zresztą, o ile można przynajmniej sądzić z tych dwóch, których się napotkało, są to ludzie zgodni, spokojni, i nieźli. Prędko i gładko ubity został handel, wskutek którego siły karawany zostały wzmocnione o 5 yaków i 6 baranów, łowcy zaś ku niemałemu zadowoleniu swojemu otrzymali 124 rupie i zobowiązali się przeprowadzić karawanę kilka dni drogi na południe. Zastrzegli się jedynie, żeby spotkanie z karawaną i dokonana sprzedaż pozostały tajemnicą, zniknęli zaś istotnie po paru dniach bez śladu, jak tylko ukazały się nowe siedliska ludzkie.

Pożary w lasach Ameryki Północnej.

Z powodu świeżych wiadomości przerażających o pożarach w lasach Ameryki północnej, gdzie również zwierzyna ginie masowo, przytaczamy w tym przedmiocie szereg ciekawych szczegółów, wyjętych z większej pracy p. A. Kozikowskiego w „Sylwanie".

Telegramy alarmują o pożarach w lasach Ameryki cały świat cywilizowany kilka razy do roku, a zwłaszcza w porze wiosennej i pod koniec lata. My, Europejczycy, którzy nie znamy takich lasów rozległych, jakie pomimo gospodarstwa rabunkowego, posiada dziś jeszcze Ameryka Północna, którzy nie widzieliśmy większego pożaru lasów, skłonni jesteśmy niedowierzać takim wieściom hiobowym, pochodzącym z kraju sensacyi i nieograniczonej możliwości. Niejeden czytelnik gazety codziennej powie sobie niezawodnie: „Ot, przesadzają, jak we wszystkiem, iście po amerykańsku"!

Niedowierzać będzie takim wiadomościom szczególnie leśnik, który wprawdzie na ogół lepiej od śmiertelnika zwykłego zna grozę pożaru w lesie, który jednak z drugiej strony też wie, że istnieją środki zaradcze, że trzeba tylko ludzi i pracy, ażeby pożar opanować, że ostatecznie ogień zwalczać można ogniem, jak truciznę trucizną. Wieści te jednak przybrały tak poważny rozgłos w prasie całego świata, że na czasie będzie przyjrzeć się choć trochę pożarom lasów Ameryki Północnej, ich rozmiarom, przyczynom, następstwom i zwalczaniu w tamtejszych lasach.

Gdzie tylko człowiek w Ameryce Północnej wstąpi do lasu, tam wybucha pożar. Groźne pożary w lasach Europy stały się rzadkością, a przynajmniej śpieszy wszystko do pomocy, aby pożar jaknajprędzej zadusić. W Ameryce Północnej leży spalanie lasów, nawet bezsensowne i bezcelowe, poniekąd w charakterze ludu. Zresztą, nie można się nawet spodziewać lepszego obchodzenia się z lasem po potomkach narodu, który sam nie posiada lasu i nie zna jego dobrodziejstwa. Nieostrożność pod tym względem jest niestety, wspólna wykształconym i niewykształconym warstwom społeczeństwa tamtejszego. Dopóki ogień grasuje tylko na stepie lub też w lesie, nie troszczy się nikt o to. Alarm w gazetach powstaje dopiero wtedy, skoro pożary sięgają już pod drewniane baraki ludzkie. W lesie samym niszczy pożar „przecież tylko" podszyt bezwartościowy. Mało kto, nawet z ludzi wykształconych, wie o tem, że ten „bezwartościowy podszyt" to przyszła generacya lasu, która powoli, dążąc ku światłu, z czasem chce, ma i powinna zająć miejsce dzisiejszych, często zmurszałych ze starości olbrzymów.

Corocznie pędzi pożar przez las, niszcząc nietylko każdy kiełek, ale nawet łożysko przyszłej generacyi. W końcu narusza ogień i stare drzewa u ich podstawy, na przód w kształcie trójkąta, a z czasem dokoła całego pnia. Drzewa obumierają, schną, a następny pożar wspina się po nich do najwyższych wierzchołków. Całymi dniami i nocami, tygodniami i miesiącami grasują pożary, pozostawiając po sobie smutną pustynię osmalonych pni. Dopiero wydatne deszcze są w stanie wygasić takie pożary lasów.

Corocznie donoszą gazety o wzmaganiu się pożarów leśnych pod względem liczby i obszaru, co roku mnożą się też skargi na nieznane dotąd susze, wysychanie źródeł, obniżanie się poziomu wody w rzekach, a równocześnie na wzrastanie powodzi, groźne i częste. Przez granice państw i ogromne obszary kraju, przez pola i rzeki podają sobie rękę rozwydrzone elementy. Na północy w Minnesota, Wisconsin i Michigan, ogromne pożary lasów i nieustające karczunki, na południu w Arkansas, Louisiana i Missouri nieustanne karczunki i niebywałe powodzie.

Największy pożar, znany dotychczas w historyi lasów amerykańskich, szalał w lasach sosnowych stanu Minnesota, w sierpniu 1894 r. Wtenczas spaliło się całe miasto Hinckley, a w niem 418 osób. W r. 1902 spaliło się w lasach stanów Washington i Oregon 18 ludzi. A gdyby nie łąka z soczystą koniczyną, obszaru angielskiej mili kwadratowej, byłoby więcej ofiar w ludziach. Tu bowiem wszyscy się zgromadzili i wytrwali do końca, pomimo nieznośnego gorąca i dymu. W roku 1903 spaliło się w stanie New-York przeszło 240,000 ha. Szkoda wynosiła 16,5 milionów koron, a zwalczanie pożaru kosztowało 763,660 kor., co zresztą na nic się nie zdało; dopiero obfity deszcz ugasił pożar. W roku 1905 spaliła się część lasów czerwonej sosny nad rzeką Columbia, przyczem zginęło 18 ludzi, a szkoda wynosiła przeszło 58,9 milionów koron.

Do wszystkich wyliczonych strat nie wliczono jednak szkód pośrednich, które powstają przez zniszczenie drzewostanów młodszych, nierębnych jeszcze, przez zniszczenie nalotu, trawy i drobnych roślin, tak ważnych nieraz w biologii lasu i wreszcie szkody, powstałej z powodu zniszczenia próchnicy i urodzajnej warstwy gleby. Ażeby te szkody skonstatować, robi amerykański departament leśnictwa doświadczenia, a mianowicie, rozkłada rozmaite nasiona na ziemi, przykrywa wszystko materyałem palnym i zapala. Popiół i osmalone nasiona wysyłają do laboratoryum w ministeryum rolnictwa. Przekonano się oczywiście, że siła reprodukcyjna nasion była zniszczona. Doświadczenia, dotyczące wzrostu drzew na glebach, gdzie szalał przed 5, 10 i 15 laty pożar, są jeszcze w toku.

Stany Zjednoczone liczą się już z faktem, że przy pożarach leśnych traci rocznie życie 65 ludzi i że szkody, wyrządzone przez pożary, rocznie wynoszą 50 milionów dolarów, t. j. 246,760,000 koron, że lasu spali się rocznie około 200,000 ha.

Pomiędzy dwoma zniszczonemi miejscowościami szalało morze ognia szerokości 25 km., którego płomienie dosięgały 200 stóp wysokości. Powietrze jest tak rozgrzane, że z powierzchni rzek podnosi się para. Rozpuszczone przez właścicieli stada bydła pędziły przed ogniem. Do nich przyłączyły się niedźwiedzie, wilki i żbiki, które tak były wystraszone, że oswojonym zwierzętom nic nie robiły.

W roku zeszłym spalił się także tak zwany „gaj mamutów" w Kalifornii, w którym rosły wspaniałe welingtonie, należące do drzew szpilkowych, a między niemi najstarsze na kuli ziemskiej drzewo. Wiek tej welingtonii oceniano na 1300 lat.

Telgramy dają pojęcie o grozie pożarów w lasach amerykańskich. Ujście z życiem jest wprost niemożliwe, jeśli się uwzględni, że ogień, jak skonstatowano już kilkakrotnie, posuwa się z szybkością 16 klm. na godzinę. Z taką szybkością uchodzić nie można, ani na wozie, zwłaszcza na lichych drogach, ani też konno, bo i koń na dłuższy przeciąg czasu nie wytrzyma takich wyścigów. Jedyną nadzieją pozostaje kolej żelazna. To też nad torem gromadzą się najczęściej uciekający przed pożarem, oczekując z niecierpliwością, łatwo zrozumiałą, nadejścia pociągu. Prośbą i groźbą zmusza się konduktorów do zatrzymania pociągu i zabrania uciekających przed pożarem. Ale często nawet i pociąg, pomimo rozpaczliwych wysiłków, nie ujdzie niebezpieczeństwa, gdyż często już palą się progi na torze, albo też ogromne drzewo, palące się, padło na tor, albo wreszcie zapalił się most drewniany, nim go jeszcze dosięgły płomienie. Prędzej jeszcze, niż w równinie, pędzi pożoga w górach, gdyż bijące w górę płomienie łatwo rozpalają korony drzew wyżej rosnących, tak, że szybkość pożaru, postępującego pod górę, przenosi 16 km. na godzinę, wolniej natomiast zstępuje ze stoku.

Wiadomo, że każdy pożar lasów wytwarza sobie swój specyalny wiatr, który go pędzi w raz obranym kierunku. Przy pożarach amerykańskich wiatr ten staje się wyjącym huraganem, który gorącem swem tchnieniem wysusza wszystko przed sobą i przygotowuje, aby się lepiej paliło, który jednak ma i tę dobrą stronę, że jest najlepszym znakiem ostrzegawczym dla ludzi i zwierząt, pewniejszym od telegrafu bez drutu.

Bardzo ciekawa jest statystyka przyczyn pożarów leśnych w Ameryce, gdyż widzi się z niej, co robi człowiek w kraju, w którym najwyższą zasadą jest bezwzględna wolność osobista. Według sprawozdań profesora Sargenta spaliło się w jednym roku 1879/80 tylko 408,960 ha lasu wartości około 117,800,000 koron. Przyczyny tych po-

żarów były następujące: Przy poprawianiu pastwisk powstało 197 pożarów. W 1152 przypadkach przeszedł ogień ze zrębów do lasu. 508 razy wznieciły parowozy kolejowe ogień w lesie. Myśliwi wzniecili pożary 628 razy, biwakujący w lesie podróżujący 72 razy, palący cygara 35 razy. W 628 przypadkach przyczyną była swowola. 12 razy przeszedł pożar stepu trawiastego do lasu; 9 razy powstał pożar przy zwęglaniu drewna; 32 razy wzniecił pożar piorun; 56 razy indyanie, 10 razy agenci, pośredniczący w handlu drewnem; 2 razy podróżujący. W 2 przypadkach miał się las sam zapalić. 3 razy wzniecili pożar robotnicy leśni, a w 3 przypadkach przyczyny wogóle nie zostały stwierdzone. Wszystkich razem było tych przypadków zatem 2983.

Najwięcej w oczy bijącemi i zarazem charakterystycznemi dla Ameryki przyczynami pożarów są według statystyki, myśliwi, parowozy, biwakujący w lesie podróżni i swawola, a tych wszystkich razem jest aż 1470 przypadków.

Szkody, które lasom wyrządzają koleje, są bardzo znaczne. Kto dziś podróżuje po Ameryce Północnej musi się na przód oswoić ze sterczącemi po obydwóch stronach toru, spalonemi drzewami, jeśli chce korzystać z piękności natury. Niezliczoną ilość razy spaliły koleje całemi milami lasy, przez które przechodzą. Na szlakach starszych zmniejsza się z roku na rok niebezpieczeństwo pożaru, gdyż po obydwóch stronach spalone rok rocznie przestrzenie, są teraz już bezleśne. Nic więc łatwiejszego, jak te „pasy ochronne“ oddzielić rowem od lasu, aby wreszcie ochronić las pozostały. Pasy te byłyby bezwarunkowo lepszym środkiem ochronnym przeciw pożarom, niż przepisane, ale nieużywane przyrządy do chwytania iskier.

W Ameryce Zachodniej mają myśliwi zwyczaj spalania podczytu (Underbush), ażeby ten nie przeszkadzał im w mierzeniu do zwierzyny. W innych znów okolicach zastępują pożary nawet rolę naganki.

Ze swawoli podpalają lasy przedewszystkiem defraudanci, aby zniszczyć wszelkie ślady swego przestępstwa.

Szczególnie obfity w pożary leśne był rok 1908, gdyż panowała susza taka, że opady były o 17° niższe od przeciętnej wysokości, a na domiar złego było tego roku szczególnie dużo i silnych wiatrów. W samym stanie Massachusetts skonstatowano w tym roku 1379 pożarów, a jeśli się doliczy do tego jeszcze 20 proc. przypadków niestwierdzonych, jak to czyni sprawozdanie, wypadnie w jednym roku 1655 pożarów leśnych. Powierzchnia spalona wynosiła w zaokrągleniu 16,300 ha, a ponieważ obszar wszystkich lasów tego stanu wynosi mniej więcej 100,000 ha, przypada na każde 62 ha lasu, czyli na każde 123 ha powierzchni stanu, 1 ha lasu spalonego. W lasach państwowych Stanów Zjednoczonych zaś przypada na każde 10,000 ha, a w rzeszy niemieckiej na każde 15,000 ha lasu 1 ha spalonego.

Szkoda wyrządzona wynosiła przeciętnie 76.57 kor. z 1 ha, ogółem zaś 1,484,280 kor., jeśli się doliczy 20 proc. nieskonstatowanych pożarów. Nie są to oczywiście liczby ścisłe, których dojść trudnoby było.

Przyczyną pożaru były w 566 przypadkach (czyli 40 proc.) koleje żelazne, w 110 przypadkach (czyli 8 proc.) palenie tytoniu, w 5 przypadkach (=0,3 proc.) pioruny, jako jedyna vis major. W 345 przypadkach (=25 proc.) nie zdołano wogóle wyśledzić przyczyny, a tabela podaje aż 26 rozmaitych przyczyn tych pożarów leśnych. Najwięcej pożarów było w kwietniu 538 = 39 proc., a następnie w maju i październiku po 234 = 17 proc.

Odnośnie do parku narodowego Yellowstone, istnego raju natury, mówi H. Winser w swym podręczniku dla turystów: „Pożałowania godne jest, że przez nieostrożność zwiedzających, (a więc ludzi wykształconych) spaliły się ogromne przestrzenie lasu. Przyczyną pożaru było niestosowanie się do najprostszych środków ostrożności przy rozpalaniu ognisk. Wskutek tego nie rzadko zdarza się, że jedzie się milami całemi pomiędzy pniami osmalonymi, zamiast w orzeźwiającym chłodzie lasu“.

Prócz tych pożarów trafiają się jeszcze dość często pożary, spowodowane poniekąd sposobami gospodarstwa amerykańskiego, a mianowicie osiedlaniem się farmerów i użytkowaniem pierwotnem lasu.

Farmerzy początkujący, emigranci europejscy, są to przeważnie ludzie ubodzy, którzy posiadają co najwyżej tyle pieniędzy, aby nabyć najtańsze gleby, tak zwane „niepoprawione sekcye“, czyli lesiste sekcye w górach. Pierwszą więc czynnością farmera jest spalenie lasu, a jest rzeczą jasną, że pożar nie zważa na granice własności. Tym sposobem doszło do tego, że całe regle i płaskowyże gór Adirondacks są dziś sekcyami „poprawionemi“ (wziętemi w kulturę), to znaczy, że spalono tam lasy pierwotne, gdyż farmerzy po kilku latach niepowodzenia opuścili swe farmy.

(Dok. nastąpi).

Strzelanie do gołębi.

(Dokończenie)

Z placu.

Dnia 29 maja.

Nagroda bezimienna Uczestników Warszawskiej Spółki Myśliwskiej (para pistoletów), handicap. 1 gołąb. Najmniej 10-ciu strzelców. Wpisowe 10 rb. I przedmiot i 30%, II—30%.

Pp. Leon Dzięgielewski 22 m. — 10/10
ks. Włodzimierz Czetwertyński 24 m. — 12/13.

Przyjmowali udział pp.: S Kotkowski 11/13, hr. Z. Broel-Plater 7/8, T. Mostowski 6/7, ks L. Czetwertyński 3/4, hr. St. Plater-Zyberk 3/4, hr. J. Broel-Plater 0/1, gen. L. Tarnowski 0/1, F. Rożyński 0/1.

Dnia 30 maja.

Nagroda Dam, handicap, 6 gołębi rzędowych, rozgrywka na barage'u o 1/2 metra. Wpisowe 8 rb.; najmniej 10 strzelców. I — przedmiot i 30%, II — 30%

pp. Karol Wodziński 23 m. — 27/27
gen. L. Tarnowski 22 m. — 26/27.

Przyjmowali udział pp.: hr. St. Plater-Zyberk 25/26, S. Kotkowski 22/23, T. Mostowski 11/12, S. Zabłocki 6/7, F. Rozyński 6/7, M. Kawelin 5/6, L. Dzięgielewski 4/5, hr. Z. Broel-Plater 2/3, W. Stokowski 0/1.

Dnia 1 czerwca.

Nagroda ofiarowana przez p. Seweryna Kotkowskiego, jeden gołąb na 24, 27 lub 30 m. stosownie do wygranych wziętych przez kandydatów. Wpisowe 10 rb., najmniej 10 strzelających. I — przedmiot i 30%, II — 30%

pp.: hr. St. Plater-Zyberk 30 m. — 12/12
K. Wodziński 27 m. — 12/13.

Przyjmowali udział pp.: S. Skibniewski 11/13, hr. A. Morstin 9/10, C. Lisowski 8/9, T. Mostowski 7/8, S. Zabłocki 2/3, gen. L. Tarnowski 1/2 St. de Rozenwerth 1/2, F. Rożyński 1/2, W. Stokowski 1/2, St. Lilpop 1/2.

Dnia 6 czerwca.

Nagroda Ordynata hr. Maurycego Zamoyskiego, handicap, 1 gołąb. Wpisowe 10 rb. najmniej 12 strzelających. I—przedmiot i 30%, II—30%

pp.: M. Topolnicki 28 m. — 10/10
D. Łempicki 22 m. — 9/10.

Przyjmowali udział pp.: T. Mostowski 8/9, C. Lisowski 4/5, ks. Wł. Czetwertyński 4/5, S. Skibniewski 4/5, W. Stokowski 3/4, K. Koscielski 3/4, St. de Rozenwerth 3/4, hr. A. Morstin 3/4, gen. L. Tarnowski 2/3, M. Kawelin 2/3, hr. H. Broel Plater 1/2, F. Kotkowski 1/2, K. Wodziński 1/2, hr. M. Zamoyski 1/2, S. Kotkowski 0/1, W. Zaleski 0/1, S. Lilpop 0/1.

Tegoż dnia rozegrano *nagrodę ofiarowaną przez hr. Henryka Broel Platera*, handicap, 1 gołąb. Wpisowe 10 rb. I—przedmiot (lorneta polowa) i 30%, II—30%

pp. M. Topolnicki 29 m. — 11/11
C. Lisowski 22 m. — 10/11.

Przyjmowali udział ciż sami, co i w puli poprzedniej.

Dnia 9 czerwca.

Nagroda p. Wiktora Skibniewskiego, 1 gołąb, 28 m. Wpisowe 10 rb., najmniej 10-ciu strzelających. I — przedmiot i 30%, II — 30%

pp.: K. Wodziński — 24/24
hr. H. Broel-Plater — 23/24.

Przyjmowali udział pp.: S. Skibniewski 18/19, gen. Tarnowski 14/15, hr. M. Zamoyski 7/8, T. Mostowski 7/8, E. Kurnatowski 6/7, K. Zieliński 5/6, C. Lisowski 4/5, K. Kosielski 2/3, S. Kotkowski 2/3, H. Kotkowski 0/1, M. Topolnicki 0/1, ks. Wł. Czetwertyński 0/1, W. Zaleski 0/1.

Dnia 12 czerwca.

Nagroda Klubu Myśliwskiego, 1 gołąb na 27 m., rozstrzeliwanie na 29 m. Wpisowe 5 rb., najmniej 10-ciu strzelających. I—przedmiot i 30%, II—30%

pp.: hr. Maurycy Zamoyski — $^{11}/_{11}$
E. Kurnatowski — $^{10}/_{11}$.

Przyjmowali udział pp.: T. Grobicki $^{9}/_{10}$, ks. Wł. Czetwertyński $^{9}/_{10}$, M. Topolnicki $^{9}/_{10}$, M. Kotkowski $^{8}/_{9}$, I. Zaborowski $^{7}/_{8}$, K. Wodziński $^{6}/_{7}$, S. Skibniewski $^{5}/_{6}$, W. Zaleski $^{4}/_{5}$, L. Dzięgielewski $^{4}/_{5}$, hr. A. Morstin $^{4}/_{5}$, T. Mostowski $^{3}/_{4}$, E. Grabowski $^{1}/_{2}$, gen. L. Tarnowski $^{1}/_{2}$, S. Eynarowicz $^{1}/_{2}$.

Dnia 18 czerwca.

Nagroda Sportsmenów, handicap specyalny do tej nagrody, 1 gołąb. Wpisowe 5 rb. I — 150 rb., II—100 rb., III—60 rb., IV — 50 rb.

pp.: W. Zaleski 26 m. — $^{13}/_{13}$
gen. L. Tarnowski 25 m. — $^{12}/_{13}$
St. Eynarowicz 26 m. — $^{11}/_{12}$
F. Rożyński 26 m. — $^{18}/_{19}$
St. Zaborowski 25 m. — $^{18}/_{19}$.

Dwaj ostatni podzielili się IV-ą nagrodą.

Przyjmowali udział pp.: St. hr. Plater-Zyberk $^{7}/_{9}$, A Wolski $^{10}/_{12}$, K. Hulewicz $^{17}/_{19}$, K. Wodziński $^{8}/_{10}$ H. Kotkowski $^{4}/_{6}$, ks. Wł. Czetwertyński $^{15}/_{17}$, J. Zarembski $^{5}/_{8}$.

Dnia 20 czerwca.

Nagroda Koła Sportowego z jedną wkupną. Handicap, 10 gołębi, w tem 6 rzędowych, od 11-go gołębia barrage. Wpisowe 10 rb., najmniej 12 strzelających. I—100 rb., II—75 rb., III—50 rb., IV—25 rb.

pp.: gen. Tarnowski — $^{10}/_{11}$
L. Dzięgielewski — $^{10}/_{11}$
St. Zaborowski — $^{10}/_{12}$
hr. S. Plater-Zyberk — $^{9}/_{12}$,

Pierwsi dwaj podzielili się I i II nagrodą, biorąc po 87 rb. 50 kop.

Przyjmowali udział pp.: St. de Rozenwerth $^{5}/_{7}$, hr. H. Broel-Plater $^{6}/_{10}$, S. Eynarowicz $^{5}/_{9}$, K. Hulewicz $^{4}/_{7}$, W. Zaleski $^{4}/_{7}$, J. hr. Broel Plater $^{8}/_{11}$, K. Wodziński $^{4}/_{6}$, A. Wolski $^{4}/_{6}$.

Dnia 25 czerwca.

Nagroda pożegnalna. Handicap, 10 gołębi, od 11-go barrage. Za każdego chybionego gołębia płaci się 1 rb. Wpisowe 10 rb., najmniej 12 strzelców. I - żeton złoty i 100 rb., II—żeton srebrny i 50 rb., III—30 rb., IV—20 rb.

pp.: K. Wodziński — $^{12}/_{12}$
E. Garbolewski — $^{11}/_{12}$
St. Eynarowicz — $^{13}/_{14}$
L. Dzięgielewski — $^{12}/_{14}$.

Pierwsi dwaj podzielili się I i II nagrodami pieniężnemi po 10-ciu gołębiach, a strzelali dalej o żetony.

Przyjmowali udział pp: S. Siemieński $^{9}/_{10}$, W. Skibniewski $^{7}/_{10}$, K. Hulewicz $^{8}/_{10}$, St. Zaborowski $^{6}/_{10}$, A. Wolski $^{6}/_{10}$, B. Korybut-Daszkiewicz $^{10}/_{12}$, K. Jasiński $^{6}/_{10}$, M. Sobolewski $^{5}/_{10}$, S. Kotkowski $^{11}/_{13}$, S. de Rozenwerth $^{5}/_{10}$, H. Lilpop $^{8}/_{10}$.

W dniu tym zakończono sezon. Dalsze strzelanie projektowane jest dopiero w styczniu i lutym roku przyszłego.

Wykazy myśliwskie.

Cesarz niemiecki, Wilhelm II zabił w roku zeszłym: w Prökelwitz 5 kozłów, w Pait 3 łosie i 1 kozła, na Węgrzech w Bellye-Karapancza 9 jeleni i 1 kozła, w Rominten 11 jeleni, w Oranienburgu 27 danieli, w Donnaueschingen 97 lisów, w Neudeck 629 bażantów i 4 zające, w Randen 738 bażantów, zająca i 4 różne, w Springe 5 danieli i 66 dzików, w Kommuns 43 bażantów i zająca, w Entenfang 173 bażanty i 21 królików, razem sztuk 1842.

Ogółem zabił już Wilhelm II w swem życiu: 1880 jeleni-byków, 90 łań, 1768 danieli-byków, 98 danielic, 3,076 dzików, 316 warchlaków, 931 kozłów, 17,963 zajęcy, 2,447 królików, 121 gemz, 439 lisów, 3 niedźwiedzie, 12 łosi, 6 żubrów, 3 renifery, 6 borsuków, 1 kunę, 108 głuszców, 24 cietrzewi, 33,637 bażantów, 856 kuropatw, 95 grousów, 4 słonki, 2 bekasy, 87 kaczek, 2 perliczki, 826 kormoranów, czapli i t. p., 1 wieloryba, 1 szczupaka, 519 różnych. Razem tedy 65,332 sztuki.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W dobrach Pieski w gub. grodzieńskiej u hr. Władysława Pusłowskiego odbyły się pomiędzy 13 a 15 lipca n. st. polowania na kaczki przy udziale 9 strzelców. Podniesiono ogółem 352 sztuki ptactwa, w czem kaczek 332 i bekasów różnych 20. Urządzenie polowania całego odznaczało się precyzyą i systematycznością; zasługa to w całości gospodarza, który polowaniem osobiście kierował. Polowano rankami sztrajfem z czółen na ogromnem jeziorze. Wieczorami spolowywano tereny zajęte pod rybne gospodarstwo, przyczem stawało się na grobelkach, w których stronę naganiacze pędzili kaczki z dość gęsto sitowiem i różnemi trawami zarośniętych stawiszcz. Kaczek było podobno w tym roku o wiele mniej, niż zwykle, co wpłynęło na stosunkowo mniejszy rezultat rozkładu. W każdym razie polowanie w Pieskach, w początku lipca, kiedy jeszcze dużo kaczek nie było lotnych, można zaliczyć do wyjątkowo dobrych, bacząc i na to, że zapewne podniesionoby jeszcze z jakie 20% więcej kaczek, gdyby te ostatnie nie były miały, zapewne w przystępie samoochrony, nieznośnego zwyczaju wzbijania się bardzo często przed naganiaczami od razu wysoko; kaczki więc owe pędzone własnym impulsem wysoko, choć kierowały się najczęściej w stronę strzelców, jednak przelatywały wielokrotnie na jakie 70 — 80 kroków po nad strzelcami, co tym ostatnim dało pole do efektownych, ale bardzo trudnych strzałów, a w rezultacie ujemnie na rozkład wpłynąć musiało.

A. Z.

Drobiazgi myśliwskie.

Nowy król kurkowy. Przesławna konfraternia strzelców krakowskich, której historya sięga w zamierzchłe średniowiecze 13 wieku, obchodziła w tych dniach doroczne swoje święto wolnej elekcyi króla kurkowego na rok pański 1911 — 1912. Tradycyjnym obyczajem odbywało się przez cały tydzień bezkrólewia — po abdykacyi zeszłorocznego króla, dra Guńkiewicza, który wzbogacił zbiory Towarzystwa cennym darem, popiersiem bronzowem króla Władysława Jagiełły — królewskie strzelanie do olbrzymiego kura drewnianego. Ogółem oddano przeszło 1,000 strzałów, przeważnie celnych, a ostatni strzał, który strącił pozostały szczątek drewnianego kura, padł z ręki p. Józefa Goreckiego, przemysłowca i mieszczanina krakowskiego, właściciela znanej fabryki wyrobów metalowych, który też w myśl statutów obwołany został królem kurkowym. Zagrzmiały trąby i fanfary, uformował się pochód braci strzelców z rusznicami na ramieniu, przodem zaś szedł oddział łuczników i arkabuzyerów we wzorzystych strojach z epoki króla Zygmunta Augusta. W pięknie przystrojonej sali strzeleckiej, kędy pod szkarłatnym baldachimem widniały cenne relikwie konfraternii — między innemi słynny, szczerosrebrny kur, dar króla Zygmunta III — powitał nowego króla piękną a głęboko pomyślaną mową prezes Tow. strzeleckiego ,dr. W. Staniszewski. Wspomniawszy w arcymisterny sposób minioną dobę walki i gorączki wyborczej — niby echa gromów oddalającej się burzy — złożył prezes rządy w ręce nowego króla. Więc przystrojono króla jegomości w insygnia jego władzy królewskiej, kapelan Towarzystwa, ks. prałat Drohojowski udzielił mu błogosławieństwa, poczem nowy król, w otoczeniu nowoobranych marszałków, pp. Biborskiego i Brzezińskiego, oraz starszyzny Towarzystwa, zasiadł na tronie, skąd wygłosił piękne orędzie do swoich poddanych. Wieczorem odbyła się tradycyjna uczta, na której wygłoszono szereg podniosłych toastów.

Czysty zysk z wystawy myśliwskiej. W tych dniach w obecności prezesa zeszłorocznej wystawy myśliwskiej, ks. Fürstenberga w Wiedniu, obliczono czysty zysk, który przyniosła. Jak się okazało, przewyżka dochodów nad rozchodami wyraża się w cyfrze 684,870 koron i 36 halerzy. Wedle życzenia księcia prezesa, ta suma będzie obrócona na zakład wychowawczy dla dzieci gajowych i leśniczych pod nazwą „Fundacyi cesarza Franciszka Józefa".

Aforyzmy o zwierzynie. „Słowo“ przytacza niektóre aforyzmy o zwierzynie, pióra p. Kazimierza Hulewicza, najwytworniejszego z paradoksistów: „Jedna z najwybitniejszych różnic pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem polega na tem, że rozum bardzo często człowieka omylił, a instynkt nigdy nie wprowadził w błąd zwierząt. Koń często lepiej przypomina sobie drogę, aniżeli stangret. Bóbr buduje piękniejsze domy, aniżeli murzyn. Pamięć psa o człowieku da się porównać jedynie z pamięcią lichwiarza. Kangur jest najczulszym z ojców. A subtelny Abelard nie dorównał w delikatności względów dla swej drogiej Heloizy słowikowi, bawiącemu swą towarzyszkę wiosny. Tygrysica jest wzorową matką. Gołębica wstydliwą dziewicą naprzód, a potem wzorową żoną, która nigdy się nie nudzi.

Ucieczka tygrysów. Z bawiącego obecnie w Malborgu cyrku Meya, z powodu złego zamknięcia klatki, uciekły dwa tygrysy. Jednego z nich ujęto wkrótce przy cennej klaczy i jej źrebaku, które zagryzł, drugi zaś, po dłuższej gonitwie, przyparty do płotu, bronił się rozpaczliwie i rozdarł zębami ramię jednemu z dozorców cyrkowych, który zbliżył się zanadto do niego. W końcu jednak udało się zarzucić zwierzęciu na łeb kaganiec żelazny i odprowadzić skrępowanego do klatki.

Aktorka puszcza się na lwy. Artystka dramatyczna i tancerka, Ida Rubinstein, która tak głośne święciła tryumfy w misterium d'Anunzia „Męczeństwo św. Sebastiana“, zamierza spędzić lato w afrykańskiej pustyni i czynić konkurencyę wielkiemu łowcy przed Panem, Rooseveltowi. Już w roku zeszłym wypowiedziała wojnę słoniom i położyła trupem sztuk parę — tak przynajmniej głosiły dzienniki. Obecnie w męzkiem przebraniu wyrusza do północnej Rhodesii na lwy. Że mimo tego przebrania, chce pozostać kobietą, świadczą o tem jej dwie towarzyszki podróży: fryzyerka i manikura. Panna Rubinstein rzucać się będzie na lwy z pięknie wypolerowanymi paznogciami i ufryzowanym turbanem.

Bezpieczne polowanie. Polowanie jest, jak wiadomo, nietylko rozrywką, lecz ma też — niekiedy — na celu bronienie dobytku człowieka oraz i jego samego od napaści dzikich a żarłocznych zwierząt. Człowiek tępi zwierzęta szkodliwe, polując na nie, łącząc pożyteczne z przyjemnem. Dziś, przy wydoskonalonych sposobach polowania utraciły sporo emocyonujących niebezpieczeństw. Chyba że się zapoluje na lwa lub tygrysa — w pojedynkę. Coraz dziś atoli mniej amatorów tak nadzwyczajnych wrażeń. Typowym objawem nowoczesnej pieczołowitości człowieka o bezpieczeństwo własne jest wynalezienie sposobu polowania na wilki tak, aby nemrodowi, względnie nemrodom nowożytnym zgoła nic a nic — nie groziło. Przedewszystkiem tedy nie używa się sanek, lecz — jedzie się „na wilki“ w wygodnym i szybkim automobilu na płozach. Automobil opancerzony jest siatką żelazną, nieprzeszkadzającą jednak myśliwym operować fuzyami. W takiej siatkowej klatce siedzi się, jak u Pana Boga za piecem, wjeżdża się w stado wilków i pali z doskonałych strzelb na prawo i na lewo. Można nawet pozwolić sobie, gdy dobra sanna dopisuje na pościg za wilkami. Polowanie w osiatkowanym automobilu ma podobno sprawiać wysoką satysfakcyę. Oczywiście, że nie wilkom, gdyż przecie o wyrządzenie przyjemności dzikim bestyom nie chodzi. Wręcz przeciwnie. Dziś już wilków coraz mniej na świecie. Chodzą jeszcze — w Europie — stadami tylko w Rosyi i na Węgrzech. Prawie tedy, że wolno wyrazić się, iż olbrzymi obraz Kowalskiego „Napad wilków“, oglądany przez Warszawę z takiem zajęciem, nie jest obrazem rodzajowym, lecz historycznym.

Zwierzyna szacha. Dochody szacha perskiego są tak małe, że nie może z nich utrzymać swych pałaców ani w mieście, ani w okolicy. W parku w Duszan Tepe był niegdyś słynny zwierzyniec; jeszcze przed laty trzema podziwiano w nim lwy, tygrysy, pantery, niedzwiedzie. Obecnie pozostała jedna tylko pantera — wszystkie zwierzęta powymierały z głodu.

Chyżość gołębi pocztowych. Wiedeński klub hodowców gołębi pocztowych urządził przed kilkoma dniami wyścig gołębi pocztowych na przestrzeni Tarvis — Wiedeń, t. j. około 280 kilometrów linii powietrznej. W dniu wzlotu wypuszczono z Tarvis o godz. 6 rano 613 gołębi. Pierwszy przybył już o godzinie pół do jedenastej przed południem do Wiednia; leciał więc z chyżością 1,245 metrów na minutę. Do godziny jedenastej przed południem przybyło 400 gołębi.

Kura „strzelcem“. W miasteczku Perbette na Węgrzech, żona sędziego miejscowego Totowa, trzymała kilka kur w spiżarni. Chcąc dać im ziarna, sędzina weszła tam z kobiałką. Kury wpadły w popłoch i rozpierzchły się na wszystkie strony. Jedna z nich wskoczyła na wiszącą przy ścianie strzelbę, której kurek jakimś trafem był odwiedziony. Kura zawisła na cynglu, który szarpnięty nagle, spuścił kurek. Padł strzał i nabój ugodził Totową w samo serce. Nieszczęśliwa padła trupem odrazu.

Sport u ptaków. Francuski przyrodnik Masse mówi, że każdy ruch u ptaków ma swój głębszy cel; żadne poruszenie się z miejsca, skok żaden, ni rzut skrzydeł, czy zmiana postawy nie są pozbawione celowości żywotnej. Tylko cztery ptaki mają pewne ruchy, które nie zawsze są podyktowane konieczną potrzebą; gołąb domowy, skowronek, pliszka i wrona wykonują pewne ruchy niejako dla sportu, i tak np. gołąb leci, a skowronek wznosi się czasem jedynie dla przyjemności latania i wznoszenia się w powietrze.

* *

Kangur a ojciec.

Mały Kazio ogląda otrzymany na gwiazdkę atlas zoologiczny. Nagle zastanawia się i pyta:

— Tatusiu, dlaczego to zwierzątko nazywa się kangur?

— Co za głupie pytanie! A dlaczego ja nazywam się twoim ojcem?

Mały Kazio po namyśle:

— A naprawdę, dlaczego tatuś nazywa się moim ojcem?

Treść Nr. 14 „Łowca Polskiego“.

Drzewa i krzewy. — Żywe kuropatwy z Argentyny — Budowle i narzędzia łowieckie (dok.) — O odrzucie i ciśnieniu w naszych strzelbach. — Z toków i ciągów Poleskich tegorocznych. — Myślistwo w dawnej Polsce. — Ptactwo afrykańskie. — Z wyprawy Sven-Hedina. — Pożar w lasach Ameryki Północnej (dok. nast.). — Strzelanie do gołębi (dok.). — Wykazy myśliwskie. — Kronika myśliwska (*A. Z.*). — Drobiazgi myśliwskie: (Nowy król kurkowy). (Czysty zysk z wystawy myśliwskiej). (Aforyzmy o zwierzynie). (Ucieczka tygrysów). (Aktorka puszcza się na lwy). (Bezpieczne polowanie). (Zwierzyna szacha). (Chyżość gołębi pocztowych). (Kura „strzelcem“). (Sport u ptaków). — Humor.

W felietonie: Z polowań Roosevelta.

Ilustracya: Cztery rasy angielskie.

Prenumerata **„Łowca Polskiego“** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer „Łowca Polskiego“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Admistracyi **„Łowca Polskiego“** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

O G Ł O S Z E N I A.

Polskie Biuro Leśne (książe Zdzisław Lubomirski) w WARSZAWIE, Żórawia 22, tel. 90-90.
Przyjmuje zamówienia na **nasiona i sadzonki leśne** do upraw wiosennych.

„Kalendarz Leśny“ na rok 1911 (IV Rocznik)
opuścił prasę i jest do nabycia **w Polskiem Biurze Leśnem** w księgarniach, składach broni: Spółki Myśliwskiej i J. Sosnowskiego, oraz składach materyałów piśmiennych: A. Szustra i R. Krupeckiego.

KALENDARZ MYŚLIWSKI ilustrowany na 1911 rok

pod redakcyą „Łowca Polskiego“
jest do nabycia
w Kantorze Redakcyi „Łowca Polskiego“: Nowy-Świat 35 (Kancelarya Towarzystwa prawidłowego myślistwa)
w Magazynie „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej“ (Królewska 17)
i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Cena egzemplarza w oprawie 75 kop., bez oprawy kop. 60.
Z przesyłką pocztową: w oprawie 1 rb. bez oprawy 80 kop.
za zaliczeniem pocztowem o 10 kop. drożej.

Jako odbitka z „Łowca Polskiego“
wyszło z druku dzieło
OBERLAENDERA
p. t.
UKŁADANIE WYŻŁÓW.

Dzieło Oberlaendera, zawierające **szczegółowy i wyczerpujący opis układania wyżłów,** cieszy się niemal wszechświatową sławą, zwłaszcza na kontynencie. Między innemi, jako dowód popularności tej pracy może posłużyć fakt, że Francuzi, zazwyczaj niepozwalający sobie imponować Niemcom, w swoich pismach myśliwskich, piszą o tresurze psa, często jednak powołują się na Oberlaendera, jako powagę uznaną.

Jakiego powodzenia doznało to dzieło w samych Niemczech, dowodzi, że pierwsze jego wydanie ukazało się 1894 r., a w roku 1905 wypuszczono już w świat wydanie piąte, czyli że w ciągu 9 lat niespełna rozeszło się 23,000 egzemplarzy tej książki.

Wydając tłómaczenie tego dzieła, mniemamy, że spełniamy rzecz pożyteczną. Z V uzupełnionego i poprawionego przez autora wydania usunęliśmy tylko obszerne przedmowy, pisane w tonie polemicznym, oraz szczegóły dotyczące anatomicznej budowy wyżła, bowiem polski czytelnik znajdzie je gdzieindziej („Pies zdrowy i chory“ d-ra O. Hilfsreicha).

Dzieło to stanowi **wielce pożyteczny podręcznik przy układaniu wyżła,** tembardziej że obecnie nie posiadamy w handlu księgarskim żadnej pracy w tym kierunku.

„UKŁADANIE WYŻŁÓW“ stanowi duży tom o 460 stronicach ścisłego druku, z licznemi ilustracyami w tekście.

Cena 3 rub.
z przesyłką pocztową **3** rb. **25** kop.

Dzieło to nabyć można w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Nowy-Swiat 35), w Magazynie Warszawskiej Spółki Myśliwskiej (Królewska 17), w księgarni Gebethnera i Wolffa, K. Treptego i we wszystkich innych.

Nabywający to dzieło bezpośrednio w Redakcyi „Łowca Polskiego“ kosztów przesyłki nie ponoszą.

Nowi prenumeratorowie „Łowca Polskiego“, którzy nie posiadają początku tego dzieła, **za bezpośredniem** zgłoszeniem się do Redakcyi „Łowca Polskiego“ otrzymają całą książkę za połowę ceny.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego“ (Nowy-Swiat 35).

Nad Nilem Niebieskim

przez
Jana Sztolcmana,
z ilustracyami
Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu Józefa hr. Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej mało jeszcze znanej sportsmenom, krainie.

Wydanie ozdobne, z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

„Prenumeratorowie Łowca Polskiego“
mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Nowy-Świat 35) po **4** rub.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 18/20.